

KOMBATANT



Biuletyn Urzędu
do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych

cześć i chwalebna
bohaterom





Pomnik w kwaterze na „Łączce”
FOT. ARCHIWUM

BIULETYN URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

Redakcja

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
e-mail: kombatant@udskior.gov.pl

Redaktor odpowiedzialny za wydanie:

Monika Bąk
tel. (22) 661 87 45
e-mail: monika.bak@udskior.gov.pl

Współpraca reporterska: Alina Nowacka

Redakcja tekstów: Wojciech Lewicki

Korekta: Dariusz Saracyn

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.udskior.gov.pl



Partnerem Projektu
jest Narodowe Archiwum
Cyfrowe

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
centrala tel. (22) 661 81 11
punkt informacyjny tel. (22) 661 81 29
(22) 661 87 06, www.udskior.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Druk: TOPDRUK Sp. z o.o.

ul. Nowogrodzka 151a, 18-400 Łomża

Nakład: 4200 egz.



w numerze

- 3** Pakt diabłów śmiercią podpisany
Michał Elmerych
- 9** Pogrzeb Żołnierzy Wyklętych
Norbert Nowotnik
- 13** Gdyńskie Westerplatte
Katarzyna Wojciechowska
- 16** Pupil Hitlera
Katarzyna Wojciechowska
- 21** Szczecin poziom minus jeden
Michał Elmerych
- 24** Szarża pod Krojantami – symbol
kampanii polskiej 1939 r.
Waldemar Kowalski
- 28** Tankietka TK
– pierwszy polski czołg
Wojciech Weiler



FOT. ARCHIWUM

Lekkie czołgi rozpoznawcze, nazywane popularnie tankietkami, były najliczniejszymi pojazdami pancernymi Wojska Polskiego przed II wojną światową. „Na papierze” pokazywały potęgę oręża i podnosiły morale żołnierzy – a ich mit dopełniany był opowieściami o tym, że niemieckie czołgi są z tektury. Niestety, zderzenie z wojenną rzeczywistością pokazało zupełnie co innego.

Pamięć o Żołnierzach Wyklętych – bohaterach walki o wolną od sowietyzacji Polskę – już nigdy nie zaginie. Na „Łączce” Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie odbył się pogrzeb 35 bohaterów polskiego podziemia, którzy po 1945 r. z bronią w ręku stawili dramatyczny opór komunistycznej władzy. Miał po nich zagaść wszelki ślad, a dziś każdy może oddać im hołd w nowym Panteonie-Mauzoleum.



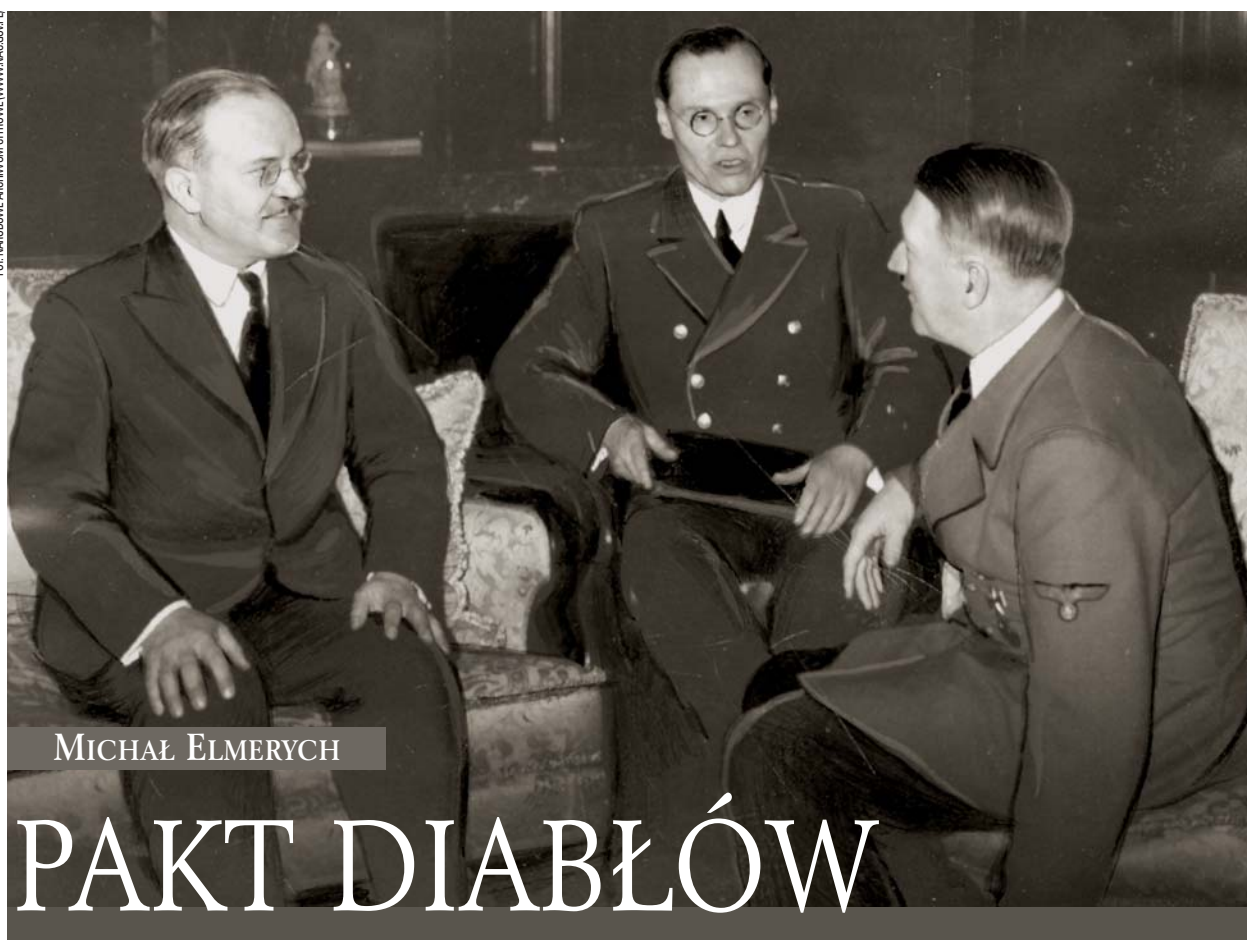
FOT. HUGO JAEGER

K O L P O R T A Ż

Kolportaż: Tomasz Nejmanowski,
tomasz.nejmanowski@udskior.gov.pl, tel. (22) 661 86 67

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian i skrótów w nadsyłanych materiałach. Materiały powinny być podpisane pełnym imieniem i nazwiskiem autora tekstu i zdjęcia oraz zawierać jego prywatny adres i telefon kontaktowy, a także krótką notkę o autorze tekstu. W miarę możliwości prosimy o dostarczanie tekstów i materiałów graficznych (zdjęcia o rozdzielczości 300 dpi) w wersji elektronicznej (na CD lub pocztą elektroniczną). Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Rubryka *Poszukujemy* jest bezpłatna.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)



MICHAŁ ELMERYCH

PAKT DIABŁÓW ŚMIERCIA PODPISANY

Od lat toczy się dyskusja, kto był większym zbrodniarzem – Józef Wisarionowicz Stalin czy Adolf Hitler. Dla Polaków, którzy we wrześniu 1939 r. znaleźli się po dwóch stronach nowej sowiecko-hitlerowskiej granicy, te historyczne spory nie mają wielkiego znaczenia. Dla nich oba nazwiska oznaczały jedno: terror, strach i bardzo często śmierć.

Datę dzienną przesądzenia losu milionów ludzi można podać dokładnie. To 23 sierpnia 1939 r. Wtedy uzgodniono wszystkie szczegóły, dzień później podpisano dokument. Nazywany niemiecko-radzieckim paktem o nieagresji, był z pozoru zwykłym traktatem ekonomicznym. Poświęcono w nim sporo uwagi gospodarczym relacjom wzajemnym, sowiecko-hitlerowskim, określając ich plany na najbliższe miesiące, które miały zostać potwierdzone dodatkowymi umowami. Pozornie nic groźnego oprócz związania się Stalina z Hitlerem,

a nie z Francją i Wielką Brytanią, jak wydawało się jeszcze wiosną. Pozornie, ponieważ opinia publiczna nie poznała tajnego protokołu ustaleń, a to on właśnie sprawiał, że na 60 lat Polska oraz kraje bałtyckie trafiły w orbitę wpływów ZSRR, tracąc praktycznie niepodległość, a w przypadku Litwy, Łotwy i Estonii – także państwowość. To właśnie w tajnym protokole do paktu Ribbentrop-Mołotow dokonano IV rozbioru Polski, potwierdzonego miesiąc później odrębnym traktatem, kiedy wojna nad Wisłą była już praktycznie zakończona.

Ta historia zaczyna się 23 sierpnia 1939 r. i dla wielu naszych rodaków trwa do dzisiaj. Warto zacytować w całości dokument, który to spowodował:

Z okazji podpisania paktu o nieagresji między Rzeszą Niemiecką a ZSRR podpisani pełnomocnicy obu stron poruszyli w ściśle poufnej wymianie zdań sprawę wzajemnego rozgraniczenia sfer interesów obu stron. Wymiana ta doprowadziła do następującego wyniku:

1. *Na wypadek przekształcenia terytorialno-politycznego obszaru należącego do państw bałtyckich (Finlandia, Estonia, Łotwa i Litwa), północna granica Litwy tworzy automatycznie granicę sfery interesów niemieckich i ZSRR, przy czym obie strony uznają roszczenia Litwy do terytorium wileńskiego.*

2. Na wypadek terytorialno-politycznego przekształcenia terytoriów należących do państwa polskiego, sfery interesów Niemiec i ZSRR będą rozgraniczone w przybliżeniu przez linię Narew-Wisła-San. Kwestia, czy i w interesie obu uznane będzie za pożądane utrzymanie niepodległego państwa polskiego, zostanie definitywnie zdecydowane dopiero w ciągu dalszego rozwoju wypadków politycznych. W każdym razie oba rządy rozwiążą tę kwestię na drodze przyjacielskiego porozumienia.
3. Jeżeli chodzi o południowy wschód Europy, to ze strony radzieckiej podkreśla się zainteresowanie Besarabią. Ze strony Niemiec stwierdza się zupełne desinteressment odnośnie do tego terytorium.
4. Protokół ten traktowany będzie przez obie strony w sposób ściśle tajny.

Niżej były podpisy Wiaczesława Michajłowicza Mołotowa i Ulricha Friedricha Willego Joachima von Ribbentropa.

Bez litości

Zaczął się prawie wszędzie tak samo. Oto wspomnienia dr. Adama Kiełpińskiego spisane przez jego bratanka. Przenieśmy się do września 1939 r., kiedy doktor jest w drodze między Grodnem, gdzie był ordynatorem w szpitalu powiatowym, a Brześciem, do którego został skierowany.

– Siedemnastego września mieliśmy postój w bogatej kolonii czeskiej w pobliżu Dubna. Mogliśmy wreszcie wypocząć, umyć się i po tylu dniach lepiej zjeść. Korzystaliśmy z tego i chwaliłiśmy sobie ten postój, aż tu nagle gruchnęła wiadomość – sowietci przekroczyli granicę i toczą walki. W nocy już było słycać kanonadę od wschodu. Nie było dokąd cofać się. Byliśmy wzięci w dwa ognie. Zbliżał się koniec naszego oporu. Dziewiętnastego września nasz szpi-

tal dostał się do niewoli sowieckiej.

Pod konwojem kazano nam iść w kierunku Dubna, gdzie odebrano nam wyekwipowanie szpitala, a personel ulokowano na placu koszarowym. Tu znajdowało się już wiele polskich jednostek wziętych do niewoli. Personel mojego szpitala miał wyjątkowe szczęście. Major NKWD, który prowadził nasze sprawy, zwolnił wszystkich lekarzy, nawet zawodowych – jak np.: mnie i kol. dr Malinowskiego. Inna rzecz, że nie podaliśmy tego, że jesteśmy oficerami – a na szczęście nikt nas nie wyspał. W innych szpitalach lekarzy nie zwalniano, a odsyłano do obozów. Wiadomo, że na liście katyńskiej znalazło się około 600 lekarzy. Zginęło tam m.in. moich kilku kolegów: mjr Marynowski i Gołyński – obaj ze szpitala wileńskiego. Zginął tam również dr Tarasiewicz, rezerwista z Grodna. Przeżycia tych koszmarnych dni, po siedemnastym września, łącznie z poprzednią kontuzją zaraz po zwolnieniu z niewoli, zwały mnie z nóg. Z ulicy przeniesiono mnie do najbliższego szpitala. Po wypisaniu ze szpitala zamieszkałem w domu zamożnej rodziny żydowskiej, która trzymała mnie bez meldowania. Nadal czułem się źle i nie mogłem swobodnie chodzić. O wyruszeniu w dalszą drogę samemu nie było mowy. Kraj już został podzielony między okupantów. Zamość i moja rodzina znaleźli się pod Niemcami. Lwów pod sowietami.

W tej opowieści jest wszystko, co tak naprawdę targało wtedy ludźmi, których ruch Robotniczo-Chłopskiej Czerwonej Armii zaskoczył. Strach, poczucie bezradności i nieuniknionej – tak nieuniknionej katastrofy, która zbliżała się z każdą godziną, a której końcem były doły Katynia, Miednoje i Charkowa czy obozy pracy GUŁagu. Przesada? Oto kolejna relacja.

– Dnia 17 IX o świcie transport nasz został zatrzymany w Białej pod Tarnopolem. Dowódców i komen-

dantów poszczególnych wagonów zawołano na odprawę. Na odprawę przybył również oficer Armii Czerwonej. Po odprawie zostaliśmy powiadomieni, że ekwipunek, plecaki i rzeczy osobiste możemy z wagonów zabrać ze sobą. Broń palną i białą winniśmy zostawić w wagonach.

– Siedemnastego września mieliśmy postój w bogatej kolonii czeskiej w pobliżu Dubna. Mogliśmy wreszcie wypocząć, umyć się i po tylu dniach lepiej zjeść. Korzystaliśmy z tego i chwaliłiśmy sobie ten postój, aż tu nagle gruchnęła wiadomość – sowietci przekroczyli granicę i toczą walki.

W nocy już było słycać kanonadę od wschodu. Nie było dokąd cofać się. Byliśmy wzięci w dwa ognie. Zbliżał się koniec naszego oporu. Dziewiętnastego września nasz szpital dostał się do niewoli sowieckiej.

Uprzedzono nas, że w wypadku oporu z naszej strony i strzałów czołgi radzieckie, którymi otoczony jest transport, otworzą ogień z armat i karabinów maszynowych. Bez walki więc zostaliśmy rozbrojeni, choć prawdę powiedziawszy w transporcie naszym jechało zaledwie kilkudziesięciu żołnierzy uzbrojonych w karabiny.

Po odprowadzeniu nas na jakiś placyk za stacją oddzielono nas od oficerów. Pamiętam słowa naszego kapitana (starego legionisty): Trzymajcie się razem i pomagajcie sobie nawzajem, a łatwiej wam będzie przetrwać niewolę. Do zobaczenia w wolnej Polsce. Przy następnej segregacji oddzielono od nas podoficerów zawodowych. Pozostałych otoczył konwój radzieckich żołnierzy i odprowadził na pole poza miasteczkiem, czy wsią Biała.

Prawie przez godzinę płakałem jak małe dziecko. Straszna rozpacz targała mną przez cały dzień. Przed

zmrokiem zaprowadzono nas na stację kolejową pełną wagonów z napisami różnych miast polskich leżących na wschodnich ziemiach polskich. Wsiadłem do wagonu z napisem Brześć n/Bugiem, gdyż informatorzy z czerwonymi opaskami na rękawach twierdzili, że wagony zgodnie z napisami odjadą do tych miast. Wydano nam po raz pierwszy niewolniczą porcję chleba. Tym razem był to jeszcze polski chleb z kawałkiem paprykowanej polskiej, wojskowej słoniny.

nymi przez te samoloty nie było gdzie uciekać. Z każdym ułamkiem sekundy potężniało wycie bomb. Obudziłem się właśnie w momencie wybuchu tych sennych, a raczej śnionych bomb.

Przez parę godzin przetaczano wagony i formowano pociągi. O świcie zbudziły mnie głośnie rozmowy. Pociąg stał w Wołoczyskach nad radziecką granicą. Bardzo długi pociąg z napisami na wagonach: Brześć, Lublin, Grodno, Wilno, Lwów itd. nie pojechał dalej. Po godzinie

wym życiu. Wśród mijanych tłumnie zebranych na trasie naszego marszu mieszkańców tego miasteczka, widzieliśmy wiele płaczących niewiast i dzieci wdzięcznie kiwających nam rączkami na pożegnanie. Przy przekraczaniu granicy kolumnę podzielono na grupy po 100-u żołnierzy i konwoje będące po polskiej stronie granicy przekazały te grupy konwojom oczekującym na nas po radzieckiej stronie. Dalszy marsz w głąb ZSRR odbywał się bez pośpiechu. Rozmowy w naszej 100-osobowej grupie ucichły, twarze spoważniały. Wielu żegnało ziemię ojczystą serdecznymi łzami.

Po całodziennym marszu, przed wieczorem dobrnęliśmy do kolchozu Porochnia. Umieszczono nas na dużym placu ogrodzonym płotem. Żołnierze radzieccy przeprowadzili dokładną rewizję naszych ubrań, plecaków i chlebaków. Na noc, ze względu na przymrozek wpuszczono nas do pustych obór, gdzie za postanie służyła nam stara, stęchła słoma rzucona na klepisko cuchnące krowim łajnem. W czasie kilkudniowego pobytu w Porochni powoli oswajaliśmy się z głodem i warunkami bytowania, które towarzyszyć nam miały z małymi odchyleniami do końca niewoli. Z urywków rozmów zasłyszanych od cywilów i gazet rosyjskich dowiadaliśmy się, że w Polsce trwają jeszcze walki z Niemcami i ciągle mieliśmy jeszcze nadzieję, że Francuzi i Anglicy dotrzymają zawartych z nami umów i lada dzień uderzą na osłabione walkami z Polakami Niemcy.

Tak wspominał Apolinary Narzekiewicz, dla którego kampania wrześniowa zaczęła się w okolicach Wielunia, a zakończyła wymarszem w głąb sowieckiego terytorium.

Cywilie też cierpieli

To wspomnienia żołnierzy. Przez lata niezbyt mile widziane, bo przecież sam pakt Ribbentrop-Mołotow, jego konsekwencje, 17 września i to,



12 listopada 1940 r., Berlin. Przyjęcie w hotelu „Kaiserhof”. Minister spraw sagraicznych Rzeszy Joachim von Ribbentrop (z prawej) wita komisarza ludowego Wiaczesława Mołotowa. FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

W oczekiwaniu na odjazd pociągu, otuliwszy się płaszczem, złożyłem głowę na plecaku i zasnąłem. Zbudziłem się o północy zlany potem. We śnie od wschodu nadlatywała ogromna chmura niemieckich samolotów. Przed bombami zrzucano

pusty pociąg odjechał w głąb Polski, my zostaliśmy. Długa kolumna wczorajszych żołnierzy polskich została otoczona konwojentami i ruszyła w stronę radzieckiej granicy.

Był to chyba najsmutniejszy pochód, jaki przeżyłem w dotychczasowo-

co stało się jeszcze później, było tematem tabu. A jednak pojawiają się, bo liczba polskich żołnierzy, która została odcięta na wschodzie, mieści się w okolicach pół miliona.

Owszem, nie były to elitarne i świetnie uzbrojone jednostki, ale w sprzyjających okolicznościach można było tych ludzi rzucić przeciwko sowieckiej armii. Rozkaz był jednak inny. Najsłynniejsze zdania z wydanego przez marsz. Rydza-Śmigłego polecenia zna praktycznie każdy: – *Sowiety wkroczyły. Nakazują ogólne wycofanie na Rumunię i Węgry najkrótszymi drogami. Z bolszewikami nie walczyć, chyba w razie natarcia z ich strony lub próby rozbrojenia oddziałów. Zadanie Warszawy i miast, które miały się bronić przed Niemcami – bez zmian. Miasta, do których podejść bolszewicy, powinny z nimi pertraktować w sprawie wyjścia garnizonów do Węgier lub Rumunii.*

Połowa z tego pół miliona żołnierzy posłuchała rozkazu, reszta z różnych powodów została na dawnych terenach II Rzeczypospolitej. Tamte wrześniowe dni i późniejsze lata odcisnęły swoje piętno także na cywilach. Nawet na dzieciach. – *Po wkroczeniu bolszewików zarekwirowali część naszego mieszkania, więc przenieśliśmy się do małego mieszkania obok siostry mojej Mamy, Cioci Mani, mamy Mietka. Z przedwojennego Lwowa pamiętam najbardziej oświetlone tramwaje wieczorem i neonowe reklamy – nigdy przedtem coś takiego nie widziałem.* – wspomina Marek Schwetz.

W momencie wkroczenia wojsk sowieckich miał zaledwie 4 lata. – *Ojca aresztowali w październiku. Po śledztwie we Lwowie był wywieziony, nie wiedzieliśmy gdzie. Po nas przyszli 13 kwietnia 1940, o piątej rano i dali Mamie 15 minut do spakowania się. Powiedzieli jej, że jedzie do męża, więc spakowała jego rzeczy i dyplom! Potem była kilkutygodniowa podróż na Kazachstan.*



Lwów, 1941 r. Tylny dziedziniec II więzienia NKWD FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

Na Kazachstanie te rzeczy Mama zamieniała na żywność, bo kupić tam jedzenia nie było możliwe. Na Kazachstanie znaleźliśmy znajomych ze Lwowa – była pani Antoniewicz, ormianka, pani Chlipalska z synami Adam i Paweł, i pani Makowska z dwójkiem dzieci Wojtek i Basia.

Do dziś żyją tam potomkowie tych, których 17 września 1939 r. zastał po wschodniej stronie – wyznaczonej przez Ribbentropa i Molotowa jeszcze w sierpniu – linii demarkacyjnej, a potem granicy sojusznicznych państw. Ilu ich naprawdę było? To liczba bardzo ciężka do ustalenia. Po pierwsze dlatego, że podczas przesuwania się wrześniowych frontów oraz ucieczki mas ludności spod niemieckiego zagrożenia nikt nie prowadził ewidencji. Spójrzmy na statystyki: we-

dług spisu powszechnego z 1931 r. na terenie ośmiu kresowych województw mieszkało ponad 13 mln osób, w tym prawie 6 mln posługujących się językiem polskim. Tyle więc mniej więcej ludzi znalazło się pod sowiecką okupacją.

Stalinowski aparat terroru nie czekał długo z tym, aby przeprowadzić akcje mające zrealizować kilka stawianych przed nim przez generalissimusa celów. Pierwszym były przesiedlenia jako kara za bycie Polakami. Dokładnie – za „bycie Polakami”, bo bardzo często nie znajdowano żadnego innego argumentu jak właśnie taki. Taki los już w październiku 1939 r. spotkał ponad 50-tys. rzeszę uciekinierów przed frontem. Oficjalny powód? „Konieczność rozładowania tłoku w miastach”. Polaków skierowano jeszcze dalej na wschód Białorusi i Ukrainy.

Rozwiązanie ostateczne

Tak wyglądały pierwsze tygodnie i miesiące pod sowiecką okupacją. Tych tygodni miało być jeszcze wiele. Jednak nie dla wszystkich. Kiedy tylko w sowieckie ręce trafiali polscy jeńcy, natychmiast rozpoczynała się selekcja – chociaż bliższe byłoby temu, co się działo, słowo – segregacja. Oddzielano oficerów od zwykłych żołnierzy, wyłuskiwano policjantów, celników, funkcjonariuszy Korpusu Ochrony Pogranicza. Starobielsk, Kozielsk i Ostaszków – w tych trzech miejscach wyznaczono główne punkty koncentracji tych, których postanowiono odizolować od reszty społeczeństwa.

– Ojca aresztowali w październiku. Po śledztwie we Lwowie był wywieziony, nie wiedzieliśmy gdzie. Po nas przyszli 13 kwietnia 1940, o piątej rano i dali Mamie 15 minut do spakowania się. Powiedzieli jej że jedzie do męża, więc spakowała jego rzeczy i dyplom! Potem była kilkutygodniowa podróż na Kazachstan.

Na Kazachstanie te rzeczy Mama zamieniała na żywność, bo kupić tam jedzenia nie było możliwe. Na Kazachstanie znaleźliśmy znajomych ze Lwowa – była pani Antoniewicz, ormianka, pani Chlipalska z synami Adam i Paweł, i pani Makowska z dwojgiem dzieci Wojtek i Basia.

Józef Czapski do obozu w Starobielsku trafił w październiku: – Był to obszar w przybliżeniu 10–15-hektarowy. Stała tam wielka cerkiew z obłamanyimi krzyżami, wówczas używana jako spichlerz do pszenicy. W naszej obecności do tej cerkwi zwożono z całej okolicy setki wozów pszenicy, a w przeciągu zimy wywieziono cały zapas, jak nam wówczas mówiono, do Niemiec. Była i druga cerkiew, mniejsza, wypełniona aż po szczyt piętami prycz i za-

pchana jeńcami. Poza tym był szereg budynków poklasztornych, gdzie wówczas jeszcze tysiące przepływających przez Starobielsk jeńców mieszkało i spało na gołej ziemi, na pryczach, na korytarzach, wszędzie. Dopiero w końcu października wywieziono stamtąd 5000 szeregowych, pozostawiając prawie wyłącznie oficerów, kilkudziesięciu podchorążych oraz kilkudziesięciu cywilnych. Spędzone tu zostały w tę przedwczesną śnieżną i mroźną jesień tysiące ludzi oberwanych i zawszonych. Nie było mowy z początku, by wszyscy mogli mieszkać pod dachem. Porozstawiano w tymże Starobielsku namioty. Przez pierwsze tygodnie nie były zorganizowane elementarnie ani łaźnie, ani oduszalnie, ani wystarczające odżywianie. Za to wszędzie na podwórzach, nawet w łaźni, poustawiano marne głośniki radiowe, które od rana do nocy ryczały, chrypiały jak w całej Rosji „kawalki” propagandowe, antypolskie, przeplatane... Chopinem. (Nawet przez podłe radio nagły strzęp etiudy, nokturnu czy sonaty olśniewał i wzruszał) – pisał we „Wspomnieniach starobielskich”.

Natomiast w wywiadzie dla „Orla Białego”, gazety Polskich Sił Zbrojnych, dodawał: – Jednym z najbardziej przejmujących dla mnie wydarzeń był powrót tej brudnej, zawszonej, zrozpaczonej gromady ludzkiej do człowieczeństwa i życia intelektualnego. Pierwszym wstrząsem był 11 listopada (1939 r.). Byłem obecny na jednym ze zbiorowych nabożeństw, gdy ks. Aleksandrowicz odczytał ze szczęśliwie przewiezonego łacińskiego brewiarza ewangelii o dzieweczce, którą Chrystus wskrzesił. Słowa „nie umarła, ale śpi” przyjęte zostały ze zrozumiałym wzruszeniem. Potem odbyła się akademii, na której młody podporucznik deklamował „List z Syberii” Or-Ota, i któryś z wierszy Lechonia. Wkrótce potem NKWD rozpoczęło pierwsze nocne wywożenia naszych kolegów w nieznanym kierunku. Wy-

wiezieni zostali wówczas por. Kwolek, rtm. Kuczyński i inni. Jedynie o Kwoleku doszła nas wieść, że umarł na suchoty na dalekiej północy. Drugim wielkim wydarzeniem w naszym życiu duchowym były święta Bożego Narodzenia. Kiedy pomyślimy, że wszyscy ci ludzie prawie na pewno nie żyją, nawet najmniejsze szczegóły z tych czasów nabierają swoistego, patetycznego zabarwienia. Pamiętam jak dziś długi stół zbity z desek, skradzione gdzieś drzewko, kilka buleczek i cukierków i cały Starobielsk rozbrzmiewający przez noc kołędami. Władze obozowe były przerażone i nie mogły sobie dać z nami rady. W tym czasie rozpoczęły się po poszczególnych barakach odczyty i w ogóle życie umysłowe zaczęło odżywać.

Zostały guziki

Józef Czapski nie jest przypadkowym bohaterem i autorem wspomnień. Nie tylko był więźniem Starobielska, ale przede wszystkim na wyraźne polecenie gen. Władysława Andersa podczas formowania się Polskich Sił Zbrojnych w ZSRS – próbował ustalić los, jaki spotkał polskich żołnierzy, policjantów i KOP-istów. Kiedy wiosną 1943 r. Niemcy ogłosili, że w Katyniu odkryli zbiorowe mogiły z pochowanymi w nich polskimi oficerami, tak wspominał poszukiwania w rozmowie z „Orłem Białym”: Między wypuszczeniem mnie z obozu i wyjściem naszej armii z ZSRR objechałem wszystkie możliwe urzędy, o których można było przypuścić, że coś wiedzą o losie moich współtowarzyszy. Nic pewnego nie mogłem się dowiedzieć. Dotarłem również do gen. Rajchmana, jednego z wyższych dygnitarzy NKWD w Moskwie. Przyjął mnie z początku z chłodną uprzejmością i obiecał sprawę wysświetlić. W kilka dni później zatelefonował jednak, że wyjeżdża i nie będzie się mógł ze mną zobaczyć. Radził zwrócić się do Wyszyńskiego (wicekomisarz

spraw zagranicznych ZSRR), który ma akta tej sprawy. Do Wyszyńskiego zwracał się jednak uprzednio osiem razy ambasador Kot – bezskutecznie.

We „Wspomnieniach starobielskich” napisał zaś trzy punkty:

– Należy stwierdzić, że:

- 1) Pogłoski, meldunki o tym, jakoby nasi koledzy ze Starobielska Nr 1, Kozielska Nr 1 i Ostaszkowa znajdować się mieli w dalekich obozach ZSRR, były zawsze w trzeciej ręce, ogólnikowe, niepewne, niemożliwe do sprawdzenia.
- 2) Od kwietnia 1940 r., to znaczy od chwili rozładowania tych obozów, nie doszedł do kraju, do rodzin, ani później do nas, do Armii, ani jeden bezpośredni znak życia od jednego chociażby z naszych zaginionych kolegów.
- 3) Że w roku formowania Armii Polskiej w ZSRR (1941–1942), kiedy służyli do nas Polacy, młodzi i starzy, z najdalszych granic Rosji sowieckiej, z Komi, z Nowej Ziemi, z Workuty, Norylska, Kołymy czy granicy chińskiej, nie wrócił z nich ani jeden.

Nie mogli wrócić. Ponad 21 tys. Polaków decyzją Stalina i Ławrientija Berii, ludowego komisarza spraw wewnętrznych, z 5 marca 1940 r. – zostało zamordowanych.

Transporty szły na wschód

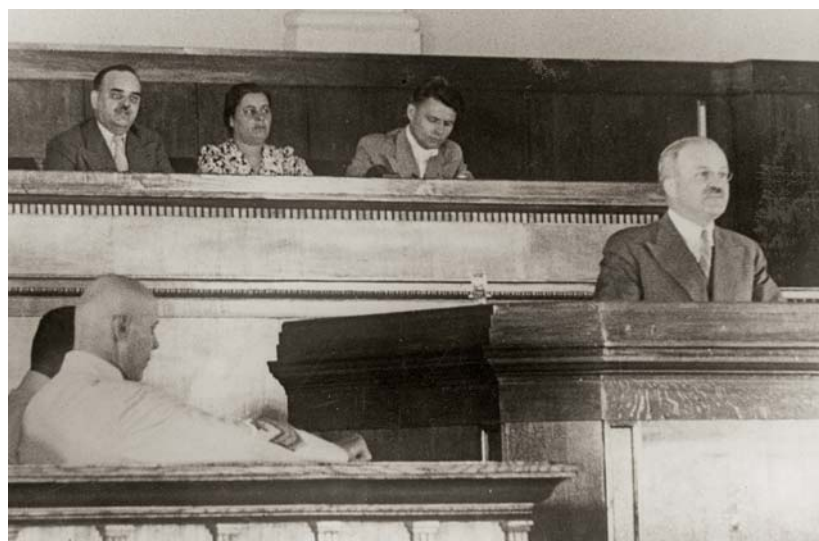
Garstka kolegów Czapskiego, która jakimś cudem ocalała z katyńskiego pogromu, zaczęła zasilać tworzoną w Związku Radzieckim polską armię. Oczywiście dopiero wtedy, kiedy okazało się, że tajny protokół paktu Ribbentrop-Mołotow już nie obowiązuje, bo nawet po jego nie tajnej części nie ma śladu, a niegdyśiejsi przyjaciele stali się śmiertelnymi wrogami. To wtedy powstała tzw. Armia Andersa.

Układ Sikorski-Majski podpisało 30 lipca 1941 r., miesiąc i osiem dni po ataku III Rzeszy na ZSRS. Budził kontrowersje, bo nie określał, jak ma przebiegać polsko-so-

wiecka granica, ale dawał przede wszystkim wolność Polakom i możliwość stworzenia na terenie Związku Sowieckiego polskiej armii. Wolność tym, którzy przeżyli te półtora roku pod sowiecką okupacją. A nie było o to łatwo.

Cztery deportacje, jakie zorganizowano do 1941 r., również zebrały swoje żniwo, często śmiertelne. W lutym 1940 r. wywieziono osadników wojskowych, średnich i niż-

sze uchodźcy, rodziny kolejarzy, rodziny osób aresztowanych przez NKWD w czasie drugiego roku okupacji, wykwalifikowani robotnicy oraz rzemieślnicy – tuż przed zaatakowaniem ZSRS przez Niemcy trafili na wschód. Ta ostatnia akcja najbardziej dotknęła położone przy sowiecko-niemieckiej granicy powiaty. Tak jakby czyszczono przedpole przed atakiem. W świetle obecnych ustaleń historyków, z których wyni-



1 sierpnia 1940 r. – komisarz spraw zagranicznych Władysław Mołotow (za pulpitem) podczas przemówienia w Radzie Najwyższej ZSRR, uzasadniającego radziecką politykę zagraniczną. FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

szych urzędników państwowych, służbę leśną oraz pracowników PKP. Wszystkich bez wyjątku z rodzinami. Trafili na daleką północ. W kwietniu pojechali kolejni – rodziny urzędników państwowych, wojskowych, policjantów, służby więziennej, nauczycieli, działaczy społecznych, kupców, przemysłowców i bankierów oraz rodziny osób aresztowanych dotychczas przez NKWD i zatrzymanych przy nielegalnej próbie przekroczenia granicy niemiecko-sowieckiej. Miejscem ich przeznaczenia był Kazachstan. Między majem a lipcem na północ wysłani zostali uchodźcy z centralnej i zachodniej Polski przybyli w czasie działań wojennych na tereny, które znalazły się potem pod okupacją radziecką. W końcu ludność ze środowisk inteligenckich, pozostali jesz-

ka, że Stalin szykował się do zadania wyprzedzającego ciosu, ma to dodatkowe uzasadnienie. W sumie wywieziono blisko 800 tys. osób.

Policzalni kontra niepoliczalni

Kiedy Polacy zaczęli gromadzić się wokół Armii Andersa, do ośrodków tworzenia Polskich Sił Zbrojnych w Związku Sowieckim dotarło ok. 115 tys. osób. Kiedy swoje wojsko zbierał Berling – kolejne 30 tys. Przybywali ze wszystkich rejonów olbrzymiego sowieckiego terytorium. Ilu z nich zostało tam na zawsze – do dziś nie wiadomo. ■



Zdjęcia udostępniono
Narodowe Archiwum Cyfrowe
www.nac.gov.pl

FOT. ARCHIWUM



NORBERT NOWOTNIK

Pogrzeb Żołnierzy Wyklętych

Pamięć o Żołnierzach Wyklętych – bohaterach walki o wolną od sowietyzacji Polskę – już nigdy nie zaginie. Na „Łączce” Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie odbył się pogrzeb 35 bohaterów polskiego podziemia, którzy po 1945 r. z bronią w ręku stawili dramatyczny opór komunistycznej władzy. Miał po nich zginąć wszelki ślad, a dziś każdy może oddać im hołd w nowym Panteonie-Mauzoleum.

Uroczysty pochówek Żołnierzy Wyklętych – niezłomnych żołnierzy szkalowanych przez komunistyczną propagandę, skazywanych w majestacie sądowego bezprawia, mordowanych strzałem w potylicę lub haniebną śmiercią na stryczku i grzebanych pod osłoną nocy – odbył się 27 września br. Z honorami wojskowymi i w obecności najwyższych władz państwowych pożegnano tak wybitnych dowódców Armii Krajowej i powojennego antykomunistycznego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, jak mjr Hieronim Dekutowski „Zapora”, mjr Bolesław Kontrym „Żmudzin” oraz ostatni dowódca NSZ ppłk Stanisław Kasznica „Maszkowski”. W ostatniej drodze Żołnierzom Wyklętym towarzyszyły tłumy warszawiaków i osób z całej Polski.

„ Składając ich doczesne szczątki w Panteonie-Mauzoleum, niepodległa Polska wypełnia chrześcijańską powinność i choć w niewielkiej części spłaca dług wdzięczności wobec swoich najwierniejszych synów

Cześć i chwała bohaterom

– *Polska zbyt długo czekała z przywróceniem wobec Żołnierzy Wyklętych sprawiedliwości historycznej i ludzkiej* – napisał w liście do uczestników pogrzebu prezydent Andrzej Duda, którego obowiązki zatrzy-

mały na zgromadzeniu ONZ w Nowym Jorku. – *Jako prezydent Rzeczypospolitej w imieniu całego Narodu polskiego pochylam czoło w hołdzie dla poległych i zamordowanych żołnierzy drugiej konspiracji. Składając ich doczesne szczątki w Panteonie-Mauzoleum, niepodległa Polska wypełnia chrześcijańską powinność i choć w niewielkiej części spłaca dług wdzięczności wobec swoich najwierniejszych synów* – napisał prezydent, którego słowa podczas ceremonii odczytał podsekretarz w jego Kancelarii, Wojciech Kolarski.

Panteon-Mauzoleum, przy którym zebrali się obok przedstawiciele władz także najbliżsi krewni ofiar, jest wyrazem hołdu dla żołnierzy podziemia antykomunistycznego. Kwatera na „Łączce” już od wielu lat jest miejscem polskiej pamięci narodowej. Od czasów PRL do dziś przychodzą tam ludzie, składają kwiaty i zapalają znicze. Od 2012 r. udało się ze znajdujących się na tym terenie „dołów śmierci” wyeksponować ok. 200 ofiar komunistycznego terroru. Żołnierze polskiego

podziemia po wykonaniu na nich wyroków śmierci w więzieniu na Mokotowie byli w tym miejscu potajemnie grzebani przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa w latach 1948–1956.

Prezydent, którego odczytywanie listu przerywały oklaski, a także głośne okrzyki „Cześć i chwała bohaterom”, podkreślił również, że powązkowska „Łączka” to jeden z najbardziej wymownych symboli III Rzeczypospolitej. – *Tutaj przez blisko siedemdziesiąt lat spoczywały szczątki żołnierzy naszego ostatniego powstania – powstania antykomunistycznego. Zagłada uczestników drugiej konspiracji była fundamentem powojennej władzy. Była warunkiem koniecznym, by narzucony narodowi reżim utrzymał kontrolę nad krajem. (...) Pragnę podkreślić, że obecna uroczystość wieńczy pierwszy etap pracy poszukiwań na „Łączce”, lecz ich nie zamyka. Uważam za rzecz olbrzymiej wagi, by prace ekshumacyjne zostały dokończone, a wszyscy odnalezieni – zidentyfikowani i godnie pochowani. Prawda o heroizmie i tragedii podziemia antykomunistycznego jest fundamentem suwerennej Rzeczypospolitej.*

W pierwszych latach po II wojnie światowej zbrodnie wymierzone przeciwko Polakom-patriotom, którzy ofiarne walczyli z komunistyczną bezpieką, popełniano także poza Warszawą. W tym kontekście prezydent wymienił m.in. kazamaty i miejsca zbrodni w takich miastach, jak Białystok, Rzeszów i Gdańsk, gdzie – jak podkreślił – jeszcze długo będą odkrywane szczątki ofiar „czerwonego terroru”. „Łączka” na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach jest jednym z wielu miejsc na terenie Warszawy, gdzie do 1956 r. władze komunistyczne potajemnie grzebały zwłoki niewinnie straconych, zamęczonych i zmarłych więźniów politycznych – głównie z więzienia mokotowskiego. Obszar pochówków obejmował kwaterę „Ł”

i częściowo obecne kwatery „ŁII”, „M”, „MII”. Po włączeniu w 1964 r. „Łączki” w granice cmentarza komunalnego na Powązkach urządzono tu kompostownię, a następnie śmietnik. Komuniści, którzy w 1945 r. dzięki pomocy Armii Czerwonej i NKWD przejęli władzę w Polsce, chcieli w ten sposób całkowicie wymazać z pamięci historycznej Polaków żołnierzy niepodległościowego podziemia zbrojnego.



Pomnik Danuty Siedzikówny „Inki”, zamordowanej przez komunistów sanitariuszki 5. Brygady Wileńskiej mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”, został odsłonięty na terenie kościoła św. Stanisława Biskupa i Męczennika oraz Katolickiego Zespołu Edukacyjnego im. ks. Piotra Skargi na warszawskiej Woli

FOT. ALINA NOWACKA

Panteon z jasnego kamienia

– *Żołnierze Wyklęci walczyli samotnie, by dać świadectwo niezbywalnych praw do samostanowienia Polski. Był to heroizm najwyższej próby. Żołnierze niezłomni, wyklęci zapłacili za służbę Rzeczypospolitej cenę życia (...). Mamy wobec nich wielki dług wdzięczności. Wiemy też, że bez ich ofiary nie moglibyśmy się cieszyć wolnością, którą odzyskaliśmy przed ćwierćwieczem – powiedziała podczas uroczystości premier Ewa Kopacz. W jej ocenie, Żołnierze Wyklęci byli jednym z ogniw w łańcuchu pokoleń, które walczyły o nie-*

podległą Polskę w XX w. – *Dzisiaj dokładamy starań, by uniknąć w losy każdej z ofiar. By nikt nie pozostał bezimienny. By komunistyczny terror z lat 1945–1956 nazwać, udokumentować i opisać ku przestrodze dla przyszłych pokoleń. By pamiętać i oddać hołd bohaterom. Dlatego tu jesteście.*

W uroczystościach poza licznymi rodzinami ofiar, szefową rządu i ministrami w Kancelarii Prezydenta

RP Wojciechem Kolarskim i Maciejem Łopińskim obecni byli także wicepremier i minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak, minister kultury i dziedzictwa narodowego Małgorzata Omilanowska, wojewoda mazowiecki Jacek Kozłowski oraz władze Instytutu Pamięci Narodowej, na czele z prezesem IPN Łukaszem Kamińskim. Wojskową asystę honorową i wyjątkowo podniosłą oprawę uroczystości zapewniło Dowództwo Garnizonu Warszawa. W ceremonii pogrzebowej wzięły udział także liczne poczty sztandarowe związków i stowarzyszeń kom-

batanckich, m.in. weteranów Armii Krajowej i Powstańców Warszawskich.

Wyjątkowe słowa do uczestników pogrzebu skierował dr Andrzej Krzysztof Kunert, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa; instytucji, która była odpowiedzialna za zbudowanie na wojskowych Powązkach Panteonu-Mauzoleum: – *Nie jesteście od dzisiaj anonimowymi ofiarami pogrzebanych na zapomnienie w dołach śmierci. Macie swoje miejsce tutaj w Panteonie-Mauzoleum, zbudowanym z jasnego kamienia, tak jak wybudowany został czwarty cmentarz katyński w Kijowie-Bykowni. Z jasnego kamienia, bo wydobywamy Was*



Prace ekshumacyjne na „Łączce” doprowadziły do odnalezienia i identyfikacji wielu ofiar represji komunistycznych FOT. ARCHIWUM UDSKIOR (2)



Popiersie mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” stanęło w parku Jordana w Krakowie FOT. ARCHIWUM

z ciemności i z zapomnienia. Ta jasność w symboliczny sposób pokazuje, że Wasza ofiara, przez kilka dziesiątków lat skrywana, nie była ofiarą daremną.

Panteon-Mauzoleum ma formę kamiennych jasnych bloków tworzących zwarty czworobok. Jego projekt, wybrany w konkursie, przygotowali architekci Jan Kuka i Michał Dębek. Na zewnętrznej części umieszczono inskrypcje – symbol narodo-



go orla i krzyż oraz napis „Niezlomni Wyklęci. Panteon-Mauzoleum żołnierzy i działaczy podziemia niepodległościowego zamordowanych przez reżim komunistyczny w latach 1945–1956. Wierni Bogu i Ojczyźnie złożyli najwyższą ofiarę w bohaterskiej walce o godność i wolność Rzeczypospolitej”. Całość uzupełnia fragment wiersza Artura Opmana „Pacierz za umarłych”: – *Gdzie są ich groby Polsko! Gdzie ich nie ma! Ty wiesz najlepiej – i Bóg wie na niebie!* oraz cytat z Ewangelii św. Łukasza 19,40: – *Jeśli ci umilkną, kamienie wołać będą.* W Mauzoleum znajdują się nisze, gdzie umieszczono trumny ze szczątkami 35 ofiar odnalezionych podczas ekshumacji na „Łączce”. Na zamykających je pokrywach umieszczono narodowe godło, imię, nazwisko, stopień wojskowy, najbardziej popularny

pseudonim, datę i miejsce urodzenia oraz datę śmierci bez miejsca. Umieszczono je jedynie w przypadku, jeżeli jest inne niż Warszawa, a rodzina ofiary życzyła sobie, by spoczęła ona w Mauzoleum.

– *Kilkadziesiąt polskich rodzin liczących ponad trzy setki osób czekało na dzisiejszy dzień i na dzisiejszy pogrzeb. To państwo, przez sześćdziesiąt, a nawet siedemdziesiąt lat, pamiętaliście, tęskniliście i czekaliście. Czekaliście najpierw na odnalezienie miejsca pochówku, potem na ekshumację i identyfikację. Czekaliście na jakąkolwiek wiadomość. Nie wątpię i my wszyscy nie wątpimy ani na moment, że jeszcze bardzo wiele polskich rodzin podobnych swoich dni doczeka* – dodał sekretarz ROPWiM. Wyraził również nadzieję, że w najbliższym czasie uda się przeprowadzić kolejne ekshumacje na „Łączce”, po usunięciu z niej grobów, które wybudowano w latach 80. Wśród poszukiwanych są tak ważne dla polskiej pamięci osoby, jak gen. August Emil Fieldorf „Nil”, rtm. Witold Pilecki „Tomasz Serafiński” i ppłk Łukasz Ciepliński „Pług”. Panteon-Mauzoleum ma formę, która pozwala na jego rozbudowę na kolejnych kwaterach „Łączki”, gdy zostaną one wpisane do rejestru cmentarzy wojennych.

Mają gdzie złożyć kwiaty

Krewni ofiar, którzy przybyli na uroczystość, nie kryli wzruszenia. Wśród nich była Krystyna Frąszczak, siostrzenica słynnego mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, którego szczątki odnaleziono na „Łączce” wraz ze szczątkami jego żołnierzy. Był żołnierzem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, cichociemnym, dowódcą oddziałów partyzanckich Armii Krajowej i Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Wyrok śmierci na tym znakomitym żołnierzu władze komunistyczne wykonały 7 marca 1949 r. w więzieniu na warszawskim Mokotowie.

– Jestem szczęśliwa i wzruszona. Tak długo czekaliśmy na tę chwilę, żałuję tylko, że najbliższa rodzina tego nie dożyła. Bardzo długo wierzyliśmy, że wuj nie został stracony, tylko gdzieś wywieziony za granicę, wymieniony za jakiegoś agenta. Z czasem straciliśmy nadzieję, ja osobiście nie wierzyłam, że jego szczątki kiedykolwiek się odnajdą, że tak zostały unicestwione. Dlatego kiedy w 2012 r. pojawiła się szansa, że jego szczątki mogą się znajdować na

zostały wydobyte z ziemi. Polegli Niezwyciężeni odzyskali swoją tożsamość – mówił podczas homilii. Po Mszy trumny ze szczątkami Żołnierzy Wyklętych, w tym pięć udekorowanych wstęgami Orderu Virtuti Militari, przewieziono w kondukcje żałobnym na Wojskowe Powązki.

To nie koniec

Poszukiwania szczątków ofiar komunizmu rozpoczęły w listopadzie

kowo-badawczy „Poszukiwania nieznanymi miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956”, którym kieruje zasłużony dla tej sprawy historyk, prof. Krzysztof Szwagrzyk. Do tego projektu aktywnie włączyły się uczelnie medyczne ze Szczecina i z Wrocławia. Powstała Polska Baza Genetyczna Ofiar Totalitaryzmów, której przedstawiciele wraz z wyżej wspomnianymi instytucjami nieustannie ponawiają apele do rodzin ofiar bezpieki o przekazywanie materiału genetycznego – niezbędnego do skutecznego przeprowadzenia identyfikacji wyekshumowanych szczątków.

W Panteonie-Mauzoleum zostali pochowani: Stanisław Abramowski „Bury”, Władysław Borowiec „Żbik”, por. Henryk Borowy-Borowski „Trzmiel”, Bolesław Budelewski „Pług”, por. Edmund Bukowski „Edmund”, mjr Jan Czeredys, por. Julian Czerwiakowski „Jurek”, Bolesław Cząścik „Orlik”, mjr Hieronim Dekutowski „Zapora”, Adam Gajdek „Agata”, por. Stefan Głowacki „Smuga”, Marian Kaczmarek „Paweł”, ppłk Stanisław Kasznica „Maszkowski”, ppłk Aleksander Kita, mjr Bolesław Kontrym „Żmudzin”, por. Józef Kozłowski „Las”, Zygfryd Kuliński „Albin”, Stanisław Kutryb „Ryś”, kpt. Stanisław Łukasik „Ryś”, Józef Łukaszewicz „Kruk”, ppłk Antoni Olechnowicz „Pohorecki”, płk Marian Orlik, Henryk Roman Pawłowski „Henryk Orłowski”, por. Tadeusz Pelak „Junak”, ppor. pil. Edward Pytko, Karol Rakoczy „Bystry”, Eugeniusz Smoliński „Kazimierz Staniszewski”, kpr. pchor. Dionizy Sosnowski „Zbyszek”, por. Zygmunt Szymanowski „Jeziernia”, mjr Ludwik Świder „Johann Puk”, kpt. Aleksander Tomaszewski „Al”, por. Edmund Tudruj „Mundek”, por. Waclaw Walicki „Tesar”, por. Arkadiusz Wasilewski „Biały”, Ryszard Widelski „Irydion”. Cześć Ich pamięci! ■



Tymczasowe miejsce pamięci w kwaterze na „Łączce” (2014) FOT. ARCHIWUM

„Łączce”, to była radość i uspokojenie. To, że znalazł swoje miejsce pochówku, że możemy tu złożyć kwiaty, to wielka ulga – mówiła Krystyna Frąszczak.

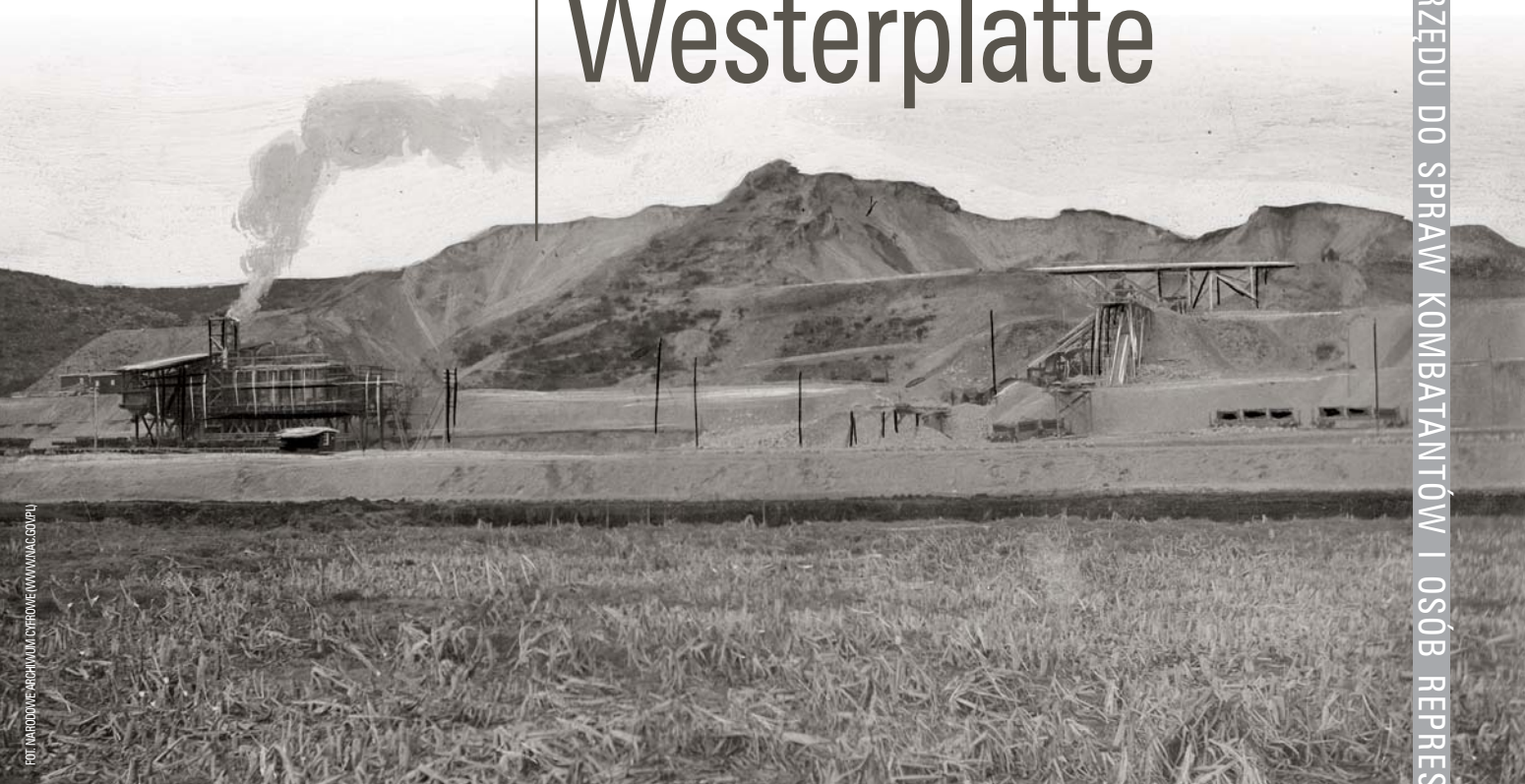
Uroczystości na Cmentarzu Wojskowym, które były zorganizowane również w związku z 71-leciem powstania Polskiego Państwa Podziemnego, poprzedziła przed południem odprawiona na placu Piłsudskiego Msza żałobna. Liturgii przewodniczył biskup polowy Wojska Polskiego, gen. bryg. Józef Guzek. – Mieli zniknąć na zawsze, zamordowani, szkalowani i wymazani z pamięci pokoleń. Determinacja rodzin Żołnierzy Niezłomnych, ich towarzyszy broni oraz środowisk niepodległościowych przyczyniła się do tego, że doczesne szczątki pomordowanych

„ Nie jesteście od dzisiaj anonimowymi ofiarami pogrzebanymi w dołach śmierci. Macie swoje miejsce tutaj w Panteonie-Mauzoleum, zbudowanym z jasnego kamienia, bo wydobywamy Was z ciemności i z zapomnienia

2011 r. trzy instytucje – Instytut Pamięci Narodowej, Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Ministerstwo Sprawiedliwości. Dzięki temu powstał m.in. projekt nau-

KATARZYNA
WOJCIECHOWSKA

Gdyńskie Westerplatte



Gdy 1 września o 4.45 „Schleswig-Holstein” otworzył ogień na Westerplatte, Niemcy rozpoczęli również ostrzał artyleryjski Gdyni od strony Sopotu. Chwilę potem zaatakowali granicę polsko-gdańską w Kolibkach, ale natrafili na silny opór 2. Morskiego Pułku Strzelców pod dowództwem ppłk. Ignacego Szpunara. Walka od początku nie była równa – wróg dysponował trzykrotną przewagą w ludziach, czterokrotną w broni maszynowej, dziesięciokrotną w artylerii.

Przed żołnierzami ppłk. Szpunara Niemcy czuli jednak respekt – do tego stopnia, że uznali, iż Gdyni nie da się zdobyć od południa i zachodu. Postanowili więc uderzyć od Kępy Oksywskiej, o czym polskie dowództwo dowiedziało się z przejętych rozkazów i nakazało przegrupowanie skromnych sił.

Westerplatte broniło ok. 200 ludzi, zginęło 15. W obronie Kępy Oksywskiej brało udział kilka tysięcy żołnierzy, którzy w ciągu 19 dni stoczyli ponad 110 potyczek. Bitwa była tak krwawa, że we wspomnieniach żołnierzy niemieckich pojawia się określenie „kleines Verdun”, czyli „małe Verdun”.

„Schleswig-Holstein” ostrzeliwuje Gdynię

Na Kępie Oksywskiej – odsłoniętym płaskowyzu o powierzchni ok. 40 km² – mieściło się dowództwo floty, koszary, magazyny i warsztaty, stanowiska baterii nadbrzeżnej oraz artylerii przeciwlotniczej. W latach 1928–1939 była to główna baza polskiej floty, wraz z portem wojennym Oksywie, stanowiącym północną część portu gdyńskiego. Latem 1939 r., po przeniesieniu głównej bazy floty na Hel, Kępę Oksywską podporządkowano legendarnemu płk. Stanisławowi Dąbkowi, dowódcy Łądowej Obrony Wybrzeża. Rolą Kępy miało być stworzenie bastionu wspomagającego Hel od strony lądu i broniącego bezpośrednio portów w Gdyni.

W dniach 1–9 września oddziały polskie na Kępie Oksywskiej broniły się przed atakami lotnictwa niemieckiego i ostrzałem z wody. Po kapitulacji załogi Westerplatte pancernik „Schleswig-Holstein” ustawił się przy wyjściu z portu gdańskiego, aby z bezpiecznej odległości ostrzeliwać Gdynię i Hel. Następnego dnia wznowił ogień, tym razem przeciwko polskim oddziałom na Oksywiu, używając 10 pocisków 280 mm i 192 pociski 150 mm.

Niemcy 10 września rozpoczęli ataki lądowe. Dwa dni później przeprowadzili generalny szturm, wspar-

ty lotnictwem oraz artylerią lądową i okrętową. Tego samego dnia płk Dąbek uznał, że jego wojska nie są w stanie dłużej skutecznie bronić dostępu do Gdyni. Chcąc oszczędzić ukochane miasto i jego miesz-

rer. Był berlińskim korespondentem radia CBS i póki Stany Zjednoczone nie znalazły się w stanie wojny z III Rzeszą – korzystał z życzliwości Niemców. 1 września 1939 r. był już dziennikarzem o uznanej marce

li się po Shirerze relacji o triumfie Wehrmachtu – wyszedł mu opis tragedii i pochwała polskiego heroizmu.

Hitlerowcy przewieźli Shirera z Sopotu do Gdyni, by z bezpiecznej odległości mógł obserwować



Koszary Marynarki Wojennej na Oksywiu. Widok na port wojenny z zabudowaniami admiralicji i koszar
FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

kańców, nakazał odwrót i koncentrację podległych mu oddziałów na Kępie Oksywskiej.

– *Cierpiał, bo nie miał czym walczyć* – wspominał potem jego przyjaciel Franciszek Sokół, ostatni Komisarz Rządu przedwojennej Gdyni. – *Oksywie to gdyńskie Westerplatte. Garstka żołnierzy bez umocnień, bez bunkrów, ze wszystkich stron okrążona, ze wszystkich stron zarzucona tonami żelaza i ogniem piekielnym, broniła się bagnietami i kosami. A na gdańskim Westerplatte, wprawdzie mniej żołnierzy, ale były umocnienia, broń i amunicji pod dostatkiem. Tak Westerplatte, jak i Oksywie broniły się równo siedem dni.*

Amerykańskie świadectwo

Być może nikt nie opisał obrony Oksywia tak uderzająco jak amerykański dziennikarz William L. Shi-



6 stycznia 1934 r. Bal karnawałowy Korpusu Podoficerów w kasynie podoficerskim floty na Oksywiu
FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

– miał na koncie ważne korespondencje z Indii Gandhiego, od kilku lat nadawał z rządzonego przez Hitlera Berlina. Niemcy spodziewa-

ostateczny szturm. – *Staliśmy na wzgórzu zwanym Kamienną Górą w środku miasta Gdyni pod wielkim – o ironio – krzyżem. Był to nie-*

miecki punkt obserwacyjny – opisuje w książce „Dziennik berliński. Zapiski korespondenta zagranicznego 1934–1941”. – *Wokół oficerowie nieodejmujący lornetek od oczu. Za miastem, nad dachami nowoczesnych budynków tego wzorcowego miasta, które było nadzieją Polski, patrzyliśmy na bitwę toczącą się dwie mile na północ.*

Oglądali nierówną walkę: – *Polacy – jak unoskowaliśmy z odgłosów ich ognia, bo widać było bardzo niewiele – nie tylko bronili się w oko-*

maszynowych. Wreszcie pojawił się dywizjon nazistowskich bombowców.

Tragiczne i groteskowe

Polacy, mimo beznadziejnego położenia, walczyli. Jak relacjonuje Shirer, obecni przy dziennikarzach oficerowie niemieccy chwalili ich dzielność: – *Prosto pod nami na ulicach Gdyni stały kobiety i dzieci, ponure i ciche, obserwujące nierówną walkę. Przed niektórymi budynkami Polacy stali w długich kolejkach po żywność.*



Pomnik Alfreda Dyducha – trzynastoletniego harcerza, najmłodszego obrońcy Kępy Oksywskiej

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

pach i kępach krzewów, ale także wykorzystywali każdy utrzymany budynek jako gniazdo karabinów maszynowych. (...) Po półgodzinie niemiecki pocisk spadł na dach szkoły i podpalił ją. Potem niemiecka piechota, wspierana – przez lornetki zdawało się, że prowadzona – przez niemieckie czołgi, zaatakowała wzniesienie i otoczyła budynek. Nie zdobyła go jednak. Polacy wciąż ostrzeliwali się z karabinów maszynowych przez okna piwniczne płonącego gmachu. Byli odważni i zdesperowani. Nad grzbietem krążył niemiecki wodnosamolot, kierujący ogniem artylerii. Później dołączył do niego bombowiec i oba zeszyły nisko, ostrzeliwując polskie linie z karabinów

Wreszcie wszystko ucichło: Kępa Oksywska padła. – Gdy szykowaliśmy się do odejścia – relacjonuje Shirer – Joe [Barnes] powiedział do mnie: Tragiczne i groteskowe. Właśnie takie to było. Nierówna bitwa, oszołomieni cywile na ulicach na dole – rzeczywiście tragiczne. A groteskowy był to widok dla nas, prawie zupełnie bezpiecznych, obserwujących mordowanie jak gdyby był to mecz, a my siedzielibyśmy w łoży honorowej. Groteskowe było też obserwowanie z tej pozycji kobiet na ulicach miasta, dla których grzmot dział, jaki słyszeliśmy, był gorzką tragedią osobistą.

Gdy odchodził, zapytał jednego z oficerów o polską artylerię. – *Nie*

mają jej – odpowiedział. – Gdyby mieli choć jedną siedemdziesiątkę piątkę, rozwaliliby nas na kawałki. To tylko dwie mile, a wzgórze jest naturalnym celem.

Sam organizował opór

W bitwie o Kępę Oksywską zginęło ok. 2 tys. żołnierzy. Oto wspomnienie świadka ostatnich chwil płk. Dąbka i jego załogi: – *Dąbek ścisłszy ze wszystkich stron, na małej przestrzeni, przy beznadziejnej sytuacji, sam organizował opór. Sam kierował ogniem karabinu maszynowego. A kiedy załoga jego, przeważnie oficerowie, bez jednego naboju w lufach, bez możliwości jakiegokolwiek walki i sensu tej walki, zwłaszcza że atakujący pierścień dochodził do 30 m od nieprzyjaciela, wywiesiła białą chorągiew na znak poddania się, Dąbek na oczach kolegów, jak i żołnierzy niemieckich, ostatnią kulę swojego steyera posłał w swe serce.*

Port Gotów

Dnia 19 września, po zdobyciu Oksywi, rozkazem Hitlera Gdynię przemieniono na Gotenhafen (Port Gotów). On sam pojawił się tutaj dwa dni później, aby obejrzyć zdobyte miasto i port.

By siły policji i wojska maksymalnie zaangażować w ochronę wodza, na czas jego wizyty wstrzymano masowe aresztowania. Szybko jednak Niemcy rozpoczęły niespotykany terror oraz przymusowe wysiedlenia. Według Stowarzyszenia Gdynian Wysiedlonych, dotyczyło to ok. 80% mieszkańców miasta. ■

Źródło:

William L. Shirer, „Dziennik berliński. Zapiski korespondenta zagranicznego 1934–1941”, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2007



Zdjęcia udostępnilo
Narodowe Archiwum Cyfrowe
www.nac.gov.pl



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOP.PL)

KATARZYNA WOJCIECHOWSKA

PUPIL HITLERA

Albert Forster – gauleiter NSDAP w Gdańsku i wszechwładny namiestnik Hitlera. Był odpowiedzialny za powstanie obozu koncentracyjnego w Stutthofie i masowe egzekucje w Piaśnicy. Mówiono, że miał dostęp do wodza III Rzeszy nawet wtedy, gdy ten się kąpał.

Pomyśl, by Albert Forster został gdańskim gauleiterem, podsunął Hitlerowi Hermann Göring. – *Ponieważ przełomu może tam dokonać wyłącznie ktoś o osobowości przywódcy – fanatyka – tłumaczył.*

Stało się to w październiku 1930 r. Forster zjawił się w Gdańsku nie-

mal natychmiast, z jedną walizką pod pachą. I błyskawicznie rozwinął działalność agitatorską oraz propagandową. To dzięki jego socjotechnicznym talentom narodowi socjaliści stali się w Gdańsku dominującą siłą polityczną i przejęli władzę. Działał arogancko, dynamicznie i bezwzględnie. Świetnie przema-

wiał. W nagrodę został hitlerowskim wielkorządcą Gdańska i Prus Zachodnich (dzisiejsze Pomorze), czyli szefem NSDAP w tym okręgu Rzeszy. Był jednym z najbardziej zaufanych ludzi Hitlera. Ernst von Weizsäcker, szef departamentu politycznego niemieckiego MSZ, w 1936 r. pisał we wspomnieniach, że była to jedyna osoba, która miała dostęp do wodza nawet wtedy, gdy ten się kąpał.

Urodzony w więzieniu

O jego dzieciństwie wiemy niewiele – nie wspominał go w swoich biografiiach, a innym zakazał o nim pisać. Urodził się 26 lipca 1902 r. w Fürth, w północnej Bawarii. Gdy przyszedł na świat, otaczały go więzienne mury. Ojciec był tam dyrektorem administracyjnym, z rodziną zajmował służbowe mieszkanie. Forster miał już wtedy piątkę rodzeństwa – trzy siostry i dwóch braci, których wychowaniu poświęciła się matka. Rodzice byli katolikami, w tym też obrządku ochrzczili najmłodszego syna. Będąc dorosłym, określał się – jak to było w zwyczaju wśród zwolenników narodowego socjalizmu – jako „wierzący”. W latach 30. pozwolił podać do publicz-

nej informacji, że: – *Ojciec długo nie mógł wybaczyć swemu młodszemu, że tak zacięcie zwalcza wszystko, co starszemu pokoleniu wydawało się wartościowe. Oczywiście matka często próbowała łagodzić spory i to ją Albert Forster darzył najgorętszą miłością.*

– *Być może trzy starsze siostry rozpieszczęły dużo młodszego brata – dywaguje Dieter Schenk, autor biografii Alberta Forstera. – Zapewne też Albert już od najmłodszych lat wiedział, jak wygląda*

życie więźniów. *Zawód ojca pozwala domniemywać, że był on człowiekiem niepozobawionym cech autorytarnych. Są to jednak domniemania.*

Jeden z braci Forstera został weterynarzem, drugi nauczycielem w gimnazjum – podobnie jak jedna z siostr. Dwie pozostałe dobrze wyszły za mąż.

Początki nienawiści

W szkole niczym się nie wyróżniał. W latach 1912–1920 uczęszczał do humanistycznego gimnazjum wiejskiego, gdzie z trudem ukończył sześć klas. Drugą i piątą musiał nawet poprawiać, co potem zacierał w notkach biograficznych. Zdobył maturę nieuprawniającą do studiów wyższych, więc po ukończeniu szkoły został kasjerem w banku.

Fürth – robotnicze miasto, położone 150 km od Monachium. Od stuleci istniały tam stare tradycje judaistyczne. Osiedliło się tam wielu żydowskich przemysłowców, a 1/3 uczniów gimnazjum pochodziła z semickich rodzin. Według Schenka to właśnie wtedy w przeciętnym uczniu Forsterze mogły zrodzić się pierwsze negatywne uczucia wobec zdolnych żydowskich kolegów i to w tym zjawisku można doszukiwać się jednej z przyczyn jego późniejszej nienawiści do Żydów.

W 1923 r., bawiąc służbowo w Monachium, po raz pierwszy widział młodych narodowych socjalistów: – z *niesłychanym przejęciem śpiewających patriotyczne pieśni.* Miał wtedy 21 lat. Kilka miesięcy później w Norymberdze znów natknął się na – *chwackich młodych ludzi spod znaku swastyki* – jak relacjonował potem w wypowiedzi dla kierownika propagandy. – *Dowiedziałem się wtedy, że przywódca tych ludzi nazywa się Adolf Hitler, ale nic poza tym* – opowiedział.

Był tak zachwycony, że jeszcze w tym samym roku wstąpił do powstałej we wrześniu komórki NSDAP w Fürth. W mieście tym – *w tak*

szczególny sposób dotkniętym plagą żydostwa – już cztery tygodnie później było 80 członków partii nazistowskiej. Forster 1 sierpnia 1924 r. został jej przywódcą.

Wyrzeczenie się samodzielnego myślenia

Zanim to się stało, po nieudanych puczu w Monachium, zaczytywał się w książkowym wydaniu „Przemówień Adolfa Hitlera”. Utwierdził się wówczas w przekonaniu, że należy uznać „naszego Hitlera” za niemieckiego przywódcę. Potem, znając na pamięć fragmenty przemówień wodza – wstawiał je do własnych.

Z powodu swojej działalności stracił posadę w banku. Nie mając pieniędzy na chleb, „siedział w kieszeni rodziców” i... śledził proces Hitlera. Na żarliwie wielbiącego Führera młodego członka partii zwrócił wtedy uwagę jeden z najstarszych towarzyszy Adolfa Hitlera i jedna z niewielu osób, z którą wódz był po imieniu – Julius Streicher, psychopata, człowiek patologicznie nienawidzący Żydów. To dzięki niemu Forster poznał w Monachium wodza, wkrótce po tym, gdy ten przedterminowo opuścił więzienie w Landsbergu.

Jako terenowy szef partii dniami i nocami Forster objeżdżał niemieckie miasta, agitując na rzecz NSDAP. Dał się poznać jako utalentowany mówca i wierny działacz – początkowo pracował za darmo, co nieraz przyplącał biedą. Tak młodego kierownika terenowej organizacji nie było w całej partii. Był słabym uczniem, nie powiodło mu się w pracy, tylko ruch narodowosocjalistyczny otwierał przed nim widoki na przyszłość.

By pomóc Forsterowi, promotor jego kariery – Streicher – polecił, by lokalne organizacje partyjne przekazywały mu dochód z zebrań, na których będzie on występował. Hitler odręcznie zatwierdził ten pomysł. Partia nie mogła stracić tak zaangażowanego i świetnego mówcy: – *najzdolniejszego organizatora spośród wszystkich najmłodszych współpracowników.* Führer ceniał Forstera za te cechy charakteru, które u innych go drażniły: za elokwencję, gesty *triumfalnej ufności, całkowite wyrzeczenie się samodzielnego myślenia i rezygnację z własnych ocen, połączone z arogancją i kłótlivością.*

W 1930 r. NSDAP odniosła ogromny sukces wyborczy i wprowadziło do Reichstagu 107 posłów. Zaledwie 27-letni Forster został najmłodszym deputowanym. W październiku Hermann Göring zaproponował go na stanowisko gauleitera w Wolnym Mieście Gdańsku, utworzonym na mocy traktatu wersalskiego. Niemcy stanowili ponad 90% ludności tego 400-tysięcznego miasta, dominując w jego gospodarczym, politycznym i kulturalnym życiu. Rządem (nazywanym w Gdańsku senatem) kierował prezydent Heinrich Sahn. Wszystkie partie, z wyjątkiem komunistów, chciały przyłączenia Gdańska do Niemiec. Ludzi martwiły sprawy gospodarcze i wysokie bezrobocie, co Forster umiejętnie wykorzystywał potem w działalności propagandowej. NSDAP była jeszcze wówczas partią marginalną – w wyborach w 1927 r. zdobyła tylko 1 mandat na 120 miejsc (w 1930 r. zmniejszono liczbę miejsc do 72).

Niemiecka dusza Gdańska

Kolejne wybory miały się odbyć w listopadzie 1930 r. W październiku dwie wizyty w Gdańsku złożył Hermann Göring, poseł do Reichstagu i prawa ręka Adolfa Hitlera. Po powrocie stwierdził, że sytuacja partii jest tragiczna, *a przełomu może tam dokonać wyłącznie ktoś o osobowości przywódcy – fanatyka.* Ustalił z Hitlerem, że do Gdańska trzeba wysłać młodego posła NSDAP, Alberta Forstera.

Forster, z pełnomocnictwem Führera w kieszeni, co ewidentnie

wzmacniało jego pewność siebie, przyjechał do Gdańska 24 października 1930 r. Pierwszym ruchem było podporządkowanie sobie towarzyszy partyjnych. Zaprzysiął też bojówki, na które w latach następnych zawsze będzie mógł liczyć. Jego zdecydowanie robiło wrażenie.

W dniach, które pozostały do wyborów, Forster organizował wielotysięczne wiece, gdzie gardłował „niemieckiej duszy Gdańska” i intonował patriotyczne piosenki. NSDAP była partią populistyczną. Swoją program dostosowywała ona do sytuacji, obiecując wszystko wszystkim – zadłużonym chłopom oddłużenie, robotnikom wyższe pensje i pracę, a przemysłowcom ochronę ich interesów. Winą za fatalną sytuację gospodarczą Hitler obciążał marksistów, Żydów, Republikę Weimarską i państwa, które po I wojnie światowej podyktowały „niesprawiedliwy traktat wersalski”. W wyborach NSDAP zdobyła 16,7% głosów, czyli 12 mandatów, stając się drugą siłą w gdańskim parlamencie.

Samodzielne rządy

W grudniu 1930 r. Göring formułował cele dla gdańskiej NSDAP: – *Koniec z czerwoną niegospodarnością; oszczędna i przejrzysta administracja; dać świadomym mieszkańcom prawo do obrony koniecznej przed czerwonymi włóczęgami; zachowanie niemieckiego charakteru Wolnego Miasta.* Forster i jego bojówkarze nie potrzebowali lepszej zachęty. Pięści poszły w ruch, konflikty rozstrzygano siłą. Tylko przez pierwsze miesiące 1931 r. na tle politycznym wybuchło ponad 80 bójek; 120 osób zostało rannych, 4 zginęły.

Führer 30 stycznia 1933 r. został kanclerzem Rzeszy, naziści przejęli władzę w Berlinie, a gdańska NSDAP prowadziła coraz hałaśliwszą działalność: organizowała pochody i demonstracje, wywieszała flagi ze swastyką i w końcu zmusiła gdań-

ski parlament do samorozwiązania oraz rozpisania nowych wyborów. W tym czasie rozpoczęła się budowa leśnej rezydencji Forstera, która miała oddać rozmiary jego władzy. Klimat Forsterówki, położonej w miejscowości Orle na Wyspie Sobieszewskiej, to pośrednio też robota samego Adolfa Hitlera, który nadał ostateczny kształt min. stylizowanym swastykom, wyrzeźbionym w Sali Kominkowej. To tu powstawał np. plan utworzenia obozu koncentracyjnego Stutthof (obok willi Forster postawił potem dwa baraki, w których przechowywano i segregowano dzieła sztuki oraz kosztowności wywożone z obozu),

radio, o głosy gdańszczan apelował sam Adolf Hitler. Następnego dnia, 28 maja 1933 r., NSDAP zdobyła 50,03% głosów i naziści objęli samodzielne rządy w Gdańsku.

Co prawda antysemickie nastroje w Niemczech nie były niczym nadzwyczajnym już w latach 20. XX w., nawet wśród inteligencji, ale przejście władzy przez NSDAP nawiązało ataki. Zmieniono prawo, a Żydzi otrzymali zakaz pracy w urządach państwowych. Nie mogli też poślubić chrześcijan – gwarantowało to rozporządzenie „O ochronie czci i krwi niemieckiej”, gdański odpowiednik ustaw norymberskich. Zabroniono im nawet wstępu do ka-



27 września 1939 r. Defilada wojsk niemieckich przed Dworem Artusa w Gdańsku. Na podeście widoczni m.in. gen. Walter Heitz (trzeci z prawej) i gauleiter Albert Forster (drugi z prawej)
FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

planowano eksterminację polskiej ludności Wolnego Miasta i najprawdopodobniej „dopieszczano” atak na Westerplatte.

Führer mówił w wywiadach, że „korytarz” odgradzający Gdańsk od Rzeszy musi zostać jej zwrócony. Odpowiedzią była mobilizacja polskiej floty i wzmocnienie garnizonu na Westerplatte. Mieszkańcy miasta obawiali się, że lada chwila dojdzie do polskiej inwazji. W tej atmosferze naziści czuli się jak ryba w wodzie, w przeddzień wyborów, przez

wiarń i restauracji. W tym czasie Forster ożenił się z o osiem lat młodszą Gertrudą Deetz, wywodzącą się z rodziny zamożnego gdańskiego przedsiębiorcy. Świadcami na ślubie był Hitler oraz osobisty sekretarz Führera – Rudolf Hess. Forsterowie pozostali bezdzietni.

W 1935 r. naziści znów chcieli przedterminowych wyborów, które zakończyły się wysokim zwycięstwem NSDAP – partia zdobyła 59,3% głosów. Dla Forstera była to jednak klęska. Mimo fałszerstw wy-

borczych, milionów na prace publiczne, nachalnej propagandy – miał za mało głosów, by zmienić konstytucję. Ale to nic.

Noc kryształowa

W nocy z 9 na 10 listopada 1938 r. na terenie całych Niemiec i Wolnego Miasta Gdańska doszło do zorganizowanego przez władze hitlerowskie pogromu Żydów. Noc tę nazywano „kryształową”, bo bojówkarze tłukli rzekomo kryształowe szyby i żyrandole żydowskich mieszkań i sklepów. Uderzyli w Żydów, – jak tłumaczyła nazistowska propaganda – pasożytują oni na zdrowym ciele niemieckiego społeczeństwa.

Albert Forster

Członek NSDAP nr 1924, SS nr 158. Od 15 października 1930 r. pełnił na polecenie Adolfa Hitlera funkcję gauleitera gdańskiego (Wolne Miasto Gdańsk) NSDAP.

Odpowiedzialny za łamanie postanowień traktatu wersalskiego w Wolnym Mieście Gdańsku, łamanie konstytucji tegoż, nielegalne uzbrojanie oraz rozbudowę oddziałów SA i SS na jego terenie, a także prześladowania przedstawicieli opozycji, Polaków oraz Żydów jeszcze przed wojną.

agresji ze strony hitlerowców na początku 1939 r. stopniała do 4 tys. osób. Forster mógł już wysłać do Berlina telegram, który nie pozostawia wątpliwości: gdańska NSDAP pozbywa się Żydów sprawniej i lepiej niż ktokolwiek.

Co prawda władze Gminy Synagogałnej poszły jeszcze na rozmowy z nazistami w Senacie Wolnego Miasta, ale nikt nie miał już wątpliwości, że będzie coraz gorzej. Na 17 grudnia 1938 r. zwołano więc współbraci do Wielkiej Synagogi. Gmach był wypełniony po brzegi. Łzy i lamenty, gorące apele przemawiających: – *Musimy wyjechać, póki nas nie zabijają*. Zapada decy-

nów kontrolowanych przez III Rzeszę. W Gdańsku zostało jeszcze ok. 500 Żydów – trafili do Stutthofu, gdzie zostali zamordowani.

Bądźcie zbyt dumni, by zadawać się z Polakami!

Albert Forster 26 października 1939 r. został też namiestnikiem Rzeszy w Gdańsku. Był tak gorliwym sługą, że w ludobójstwo wikał się sam. Jesienią zorganizował zagładę polskiej inteligencji, niszczył polską kulturę, nakazywał egzekucje, finansował jednostkę SS przeznaczoną do dokonywania mordów, patronował wypędzaniu Polaków, a nawet czerpał korzyści gospodarcze ze zorganizowanego w pobliżu Gdańska obozu koncentracyjnego w Stutthofie. – *Nie pozwalajcie Polakom jeść przy waszym stole!* – głośiły wydawane za jego zgodą ulotki. – *Nie zabierajcie z sobą Polaków do waszych gospód! Niemcy, bądźcie zbyt dumni, by zadawać się z Polakami!*

Eksterminacja ludności polskiej na Pomorzu już od pierwszych dni wojny była zorganizowana na kształt sprawnie działającej maszyny. Liczba ofiar hitlerowskiego terroru na Wybrzeżu znacznie przekracza skalę słynnej zbrodni katyńskiej. Na miejsce masowych mordów naziści wybrali Piaśnicę, niewielką wieś niedaleko Wejherowa. Pierwsze ofiary zaczęli tu zwozić już w październiku 1939 r. Najpierw przedstawiciele polskiej inteligencji z całego Pomorza – duchownych, nauczycieli, lekarzy, działaczy politycznych, społecznych. Kolejne ofiary to Polacy, Czesi, Żydzi i Niemcy, którzy mieszkali i pracowali na terenach III Rzeszy, a których uznano za wrogów hitlerowskiego reżimu. Szacuje się, że w piaśnickim lesie zamordowano od 12 do 14 tys. osób.

Żeby ukryć mordy, wiosną 1940 r. na masowych grobach hitlerowcy posadzili drzewa i krzewy. Cztery lata później, gdy zbliżał się front



Pod gmach Wielkiej Synagogi w Gdańsku zajeżdżały ciężarówky z robotnikami uzbrojonymi w kilofy. Świadkiem tych wydarzeń był 11-letni wówczas Günter Grass, przyszedł laureat literackiej Nagrody Nobla. Opisał je w powieści „Błaszany bębenek”. Jej bohater, mały Oskar Matzerath, widział płonąca Wielką Synagogę – choć w rzeczywistości skończyło się na nieudanej próbie podpalenia. Rozbiórka trwała do lata. Z punktu widzenia nazistów był to efektowny finał przepychanki z 11-tysięczną wspólnotą gdańskich Żydów, która za sprawą

zja o likwidacji żydowskich instytucji w mieście. Pieniądze ze sprzedaży nieruchomości gminnych posłużyły do sfinansowania transportów emigracyjnych.

Gdańsk opuszczały grupy Żydów liczące od kilkudziesięciu do kilkuset osób. Pierwszy transport wyruszył 20 marca 1939 r., a ostatni – 26 sierpnia 1940 r. Bogaci jechali osobno na własny koszt. Gdańscy Żydzi trafili do Londynu, USA, Palestyny, Ameryki Południowej, a nawet do Afryki. W październiku 1941 r. szef SS, Heinrich Himmler, wydał zakaz wypuszczania Żydów z tere-

wschodni, do Piaśnicy przywieziono więźniów z obozu koncentracyjnego Stutthof i kazano im odkopać zwłoki, a następnie spalić. Po sześciu tygodniach, kiedy więźniowie zakończyli „pracę”, esesmani – był to wrzesień 1944 r. – zamordowali także ich, a ciała również spalili.

Do końca pupil Hitlera

Jak wynika z danych Centralnej Placówki w Ludwigsburgu, w latach 1939–1945 hitlerowcy zamordowali w Okręgu Rzeszy Gdańsk – Prusy Zachodnie od 52 794 do 60 750 ludzi. Z wyjątkiem kilkuset, niemal wszystkie te osoby straciły życie w pierwszych miesiącach po wkroczeniu wojsk niemieckich, przy czym istotną rolę w eksterminacji odegrała niemiecka nieumundurowana organizacja utworzona przez Himmlera.

Hitler nigdy nie przestał osobiście ochraniać Forstera. Nie pomogły nawet donosy partyjnego kolegi namiestnika, któremu nie podobały się metody Forstera, choć warto dodać, że ów kolega, gdy już sam został namiestnikiem w Poznaniu, przeprowadził brutalną germanizację i eksterminację ludności z podległych mu terenów.

Po wojnie Polacy oskarżyli Alberta Forstera m.in. o pogwałcenie prawa międzynarodowego i zbrodnie przeciw ludzkości: masowe mordy na naszej inteligencji i Żydach, kłamliwą propagandę o „bydgoskiej niedzieli”, gdzie Polacy mieli rzekomo wymordować 58 tys. Niemców, o podjudzanie do mordowania Polaków i traktowanie mordu jako odwetu, prześladowanie Polaków i znęcanie się nad nimi przez więzienie, wysiedlenia, deportacje dzieci, wynaradawianie przez wpisywanie na niemieckie listy narodowościowe, niszczenie naszej kultury.

Więzień Forster

Proces Forstera trwał od 5 do 29 kwietnia 1948 r. Rozpoczął się po półtorarocznym śledztwie, które

prowadziła Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Gdańsku. Akt oskarżenia obejmował 90 stron maszynopisu. Najwyższy Trybunał Narodowy skazał go na karę śmierci. Ale Forster żył jeszcze kilka lat po wyroku.

W 1950 r. poznała go młoda, więzienna pielęgniarzka, Janina Gierlachowa. Po skończeniu szkoły musiała odpracować kilka lat we wskazanym przez władze gdańskim zakładzie. – *Wszyscyśmy wiedzieli, że tu*

w tygodniu dostawał zagraniczne paczki od rodzeństwa. Były tam ciasta, czekolady, egzotyczne owoce, rzeczy u nas niespotykane. Mielśmy obowiązek to pokroić, żeby sprawdzić, czy nie ma czegoś w środku.

Z pisanych do żony listów wynika, że Albert Forster mimo wszystko uważał się za pogrzebanego za życia. Co jakiś czas puszczały mu nerwy. Wiadomo, że był w więzieniu karany – a to za wybicie szyby, a to za użycie „złośliwych słów”, a to za



Na tylnym siedzeniu od lewej: Albert Forster – gauleiter Gdańska i Prus Zachodnich oraz gen. Max Bock – dowódca XX okręgu wojskowego Gdańsk-Prusy Zachodnie. FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

siedzi. Pokazywaliśmy go sobie, kiedy chodził po spacerniaku – wspominała po latach. – Miał przywileje: zwykli więźniowie wychodzili na spacer raz dziennie na krótko. A on dwa razy po pół godziny i jeszcze mu się wynosiło krzesło, jak się zmęczył, żeby mógł usiąść. Mógł wtedy użytkować dwa połączone ze sobą pomieszczenia. W jednym miał biurko i papier, na którym pisał. Jak skończył, przechodził do drugiego, gdzie spał.

Jednemu ze współwięźniów powiedział, że uratowała go wiedza o zakulisowych szczegółach działania hitlerowskiej partii, które podobno interesowały Moskwę. Pielęgniarka twierdziła, że Albert Forster miał wtedy ordynansa. Jej zdaniem był to więzień, Niemiec, który mu czyścił buty, ubranie i mył po nim naczynia. – *Były gauleiter dwa razy*

rozmowy w czasie spaceru. Czytał utwory Goethego i Schillera, Homera, a nawet Nowy Testament. Uczył się polskiego. Osadzeni i pracownicy przyzwyczaili się do jego obecności, gdy nagle Forster zniknął z gdańskiego więzienia. Została po nim w depozycie złota obrączka, gotówka w kwocie 1 zł i 25 gr, aż 123 książki oraz karton z notatkami i listami.

Do Więzienia Centralnego na warszawskim Mokotowie przewieziono go 28 lutego 1952 r. Musiało to nastąpić w nocy lub przed południem. Droga trwała najwyżej sześć godzin i prowadziła na szubienicę. ■



Zdjęcia udostępniło
Narodowe Archiwum Cyfrowe
www.nac.gov.pl

MICHAŁ ELMERYCH

SZCZECIN POZIOM MINUS JEDEN



FOT. ARCHIWUM URZĘDU WOJEWÓDZKIEGO W SZCZECIE

Jest połowa października 2015 r. Grupa zapaleńców szykuje się do penetracji tajemniczych miejsc. Jesteśmy kilkanaście kilometrów od Szczecina. W Policach. Tam w dawnych budynkach Hydrierwerke Pölitz AG wciąż są zalane piwnice.

Jesteśmy na terenie jeszcze nieodkrytym, pewnie możemy znaleźć tutaj hełmy, maski przeciwgazowe – mówi przed wejściem do obiektu reporterowi Radia Szczecin Łukaszowi Rabikowskiemu Anita Andryszczyk, przewodniczka ze Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Polickiej „Skarb”. To oni opiekują się ruinami fabryki i to z ich inicjatywy odbywają się te prace eksploacyjne.

Znalezisko to rzeczywiście stare maski przeciwgazowe. Żadnych „złotych pociągów”, żadnych „bursztynowych komnat”. Trudno jednak przypuszczać, żeby akurat w zniszczonej fabryce benzyny syntetycznej pojawiały się tego typu skarby. Mimo to jest to miejsce ciekawe dla poszuki-

waczy. Hydrierwerke Pölitz był jednym z największych niemieckich zakładów, które w czasie II wojny światowej produkowały paliwo na potrzeby niemieckiej armii, m.in. dla lotnictwa czy też rakiet V1 i V2. Pod koniec wojny fabryka została niemal zrównana z ziemią przez naloty alianckich bombowców. To, czego wówczas nie zniszczono – wywieźli Rosjanie. Przez półtora roku z tzw. enklawy polickiej, czyli wydzielonego terytorium formalnie należącego do Polski, a faktycznie będącego pod sowieckim nadzorem – zniknęło wszystko, pozostały ruiny i... tajemnica. Dokładnie taka sama, jaka kryje się w pobliskim Szczecinie, o wiele większym mieście, do którego przymiotnik „pod-

ziemny” przyklejono jeszcze w latach 40. XX w.

Ktokolwiek widział

O podziemnym Szczecinie nie da się pisać w oderwaniu od kilku rzeczy. Przede wszystkim od przygód wielu jego mieszkańców, którzy opowiadali je potem swoim znajomym i rodzinie. Przygód, podczas których wiele godzin spędzili w mrocznych szczecińskich zakamarkach. Nie można też zapomnieć o publikacjach w „Kurierze Szczecińskim” red. Jacka Grażewicza, który korzystając z listów od czytelników, wspomnienia te publikował, ale też snuł swoje przypuszczenia na temat tego, co pod szczecińskimi chodnikami, parkami lub nawet wodami mogło się znajdować. Co rusz bowiem miasto obiegały informacje o tajnym dworcu kolejowym, o podziemnym szpitalu bądź tunelu prowadzącym pod Odrą na jedną z wysp wprost z Wałów Chrobrego. Czy to tylko plotki, czy rzeczywiście Szczecin miał swoje podziemne drugie ja? „Podziemny Szczecin” to kilometry ukrytych korytarzy. Wiele z nich, może większość, pozostaje wciąż niepoznanych – nie wiadomo, gdzie konkretnie przebiegają i jaka jest ich długość. Często nie znamy też celu ich powstania.

– *Podziemny Szczecin odkrywają stopniowo doświadczeni eksploratorzy, odpowiednio przygotowani i wyposażeni specjaliści* – to wstęp do serii filmów, które zobaczyć można na portalu miłośników Szczecina „Sedina”. Warto na chwilę zatrzymać

się przy tej nazwie, bo jest ona charakterystyczna dla przedwojennego miasta, a wiąże się też z mniej lub bardziej fantastycznymi legendami o szczecińskich podziemiach. Sedina, czyli Manzelbrunnen lub jak kto woli Fontanna Manzla – to jeden z najczęściej publikowanych na przedwojennych kartkach motywów Stettina. Stała na placu między Nowym Ratuszem a urzędem pocztowym, w miejscu nazywanym Marktplatz. Ta trzymająca żagiel kobieta i jej towarzysz Merkury zniknęła gdzieś pod koniec wojny. O jej zaginięciu krążą legendy. Przez lata mówiono, że może być ukryta w przepastnych szczecińskich instalacjach podziemnych. Dziś już wiadomo, że najprawdopodobniej w momencie, kiedy III Rzeszy zaczęło brakować surowców – po prostu ją przetopiono, ale... No właśnie i tutaj pojawiają się różnego rodzaju plotki, że Sedina miałaby zostać ukryta w tunelach wydrążonych w Lesie Arkońskim lub w innym miejscu. Sedina – chociaż coraz mniej wskazuje, że może się odnaleźć – wciąż rozpala wyobraźnię.

Raj pasjonatów

Powróćmy do filmów, jakie zrealizowali dla portalu Sedina.pl Małgorzata Ochnicka i Wojciech Wysocki. Pierwszy odcinek to podróż pod wspomnianymi już Wałami Chrobrego. Wały to kompleks trzech budynków (Akademia Morska, Muzeum Narodowe i Urząd Wojewódzki) położonych na majestatycznych tarasach. Na filmie widać, jak eksploratorzy odkopują w jednym z miejsc wejście do podziemi. Wybierają zeń ziemię, kawałki betonu i kamienie. Potem idą wąskim korytarzem, w którym człowiek przeciętnego wzrostu nie może się całkowicie wyprostować, i dochodzą do zamurowanego przejścia. Kolejne znajdują nieco z boku. – *Są różne teorie, co to mogło być. Jedną z nich jest to, że było to wyjście ewaku-*

acyjne z budynków przy ul. Małopolskiej – mówi jeden z nich. Przy ul. Małopolskiej (ówczesnej Augustastrasse) mieściła się komenda policji i gestapo. Pokazane w filmie korytarze są wąskie, częściowo wyglądają na zamurowane specjalnie. Na betonie widać nawet datę wyrytą ostrym narzędziem: 1944. A także zatopioną w ścianie tabliczkę z nazwą berlińskiej gazety: Berliner Tagessblatt.

To pierwszy z dziesięciu filmów. Każdy kolejny poświęcony jest innemu zagadnieniu. Rafał Depa i Adrian Aleksiewicz czy Konrad Radek, którzy pełnią w nich rolę przewodników, to znawcy tematu. Jak twierdzą, nie udało im się znaleźć nigdy

dy. Drugi został zamurowany. Korytarze na pierwszym poziomie są zagruzowane. Wszystko to pozostałości zburzonej wieży widokowej, która kiedyś górowała nad lasem. Betonowy tunel prowadzi do drewnianych korytarzy. Od kilkudziesięciu lat grożą one zawaleniem.

Podziemny Szczecin to także schrony obrony przeciwlotniczej. Po wojnie zostały zagospodarowane przez Obronę Cywilną, a ich charakterystyczny kształt odwróconej litery L spotkać można w całym mieście. Jednak jest też w Szczecinie miejsce, które zadziwia swoim ogromem, a jednocześnie można je zwiedzać. To schron pod szczecińskim dworcem głównym.



Fragment tunelu łączący Urząd Wojewódzki w Szczecinie z podziemiami Wałów Chrobrego albo prowadzący w stronę Dąbia FOT. ARCHIWUM URZĘDU WOJEWÓDZKIEGO W SZCZECINIE

żadnego korytarza idącego w kierunku Odry. Oprawdają jednak po kilku innych bardzo ciekawych miejscach.

Jednym z nich są okolice dawnej wieży Quistorpa w położonym na północy miasta kompleksie Las Arkoński. To o tym miejscu krążą legendy, że tuż po wojnie ukrywali się tu Niemcy i właśnie z tego rejonu prowadzili działania dywersyjne w mieście. Dziś zachowany jest tylko fragment tych podziemi, tzw. ślimak, czyli prowadzące w dół scho-

Największy w Europie

Powstał już w czasie wojny. Jego budowę rozpoczęto po tym, jak w 1940 r. na Szczecin spadły pierwsze bomby. Przedsięwzięcie finansowała niemiecka kolej, bo to na jej terenie powstał olbrzymi LSR – Luftchutzraum. Szczeciński schron liczy ponad 2900 m² powierzchni. – *Ma najbardziej bezpieczny kształt, czyli kształt jajka, stropy są zaokrąglone. Mają blisko 3 m grubości – wyjaśnia Andrzej Fader, który opiekuje się tym miejscem, a jednocze-*

śnie oprowadza po nim turystów.

Choć budowano go metodą odkrywkową (najpierw zrobiono wykopy, a potem stawiano konstrukcję), rodzi się pytanie: czy aby nie

dowodzi, że pochodzą przynajmniej z XIX w. To zresztą charakterystyczne dla szczecińskich podziemi, że właśnie na podstawie materiału użytego do budowy można określić

oświetla żelbetową konstrukcją. Jest identyczna jak ta, którą widziałem w podziemiach wybudowanych tuż przed II wojną światową i już w czasie jej trwania. Czy ta część podziemi jest młodsza niż powstały jeszcze przed I wojną gmach? Strome schody prowadzą w dół. – Budowlańcy, którzy tu z nami zeszli, twierdzą, że konstrukcja schodów jest taka, że z pewnością pod nimi jest jeszcze jakieś pomieszczenie – mówi Daniel Miazga. – Wejścia do niego na razie nie znaleźliśmy. Tunel wyrównuje się. Jesteśmy mniej więcej 12–15 m pod poziomem jezdni przy gmachu urzędu. Na podłodze wody po kostki. Po 20 m żelbetowy tunel kończy się. Teraz ma kształt jajowaty, zbudowany jest z cegiel. Prawdopodobnie dotarliśmy do konstrukcji XIX-wiecznego fortu Leopolda, na którym na początku XX w. usypano dzisiejsze wały. Przed nami ceglana ściana. – Nasi pracownicy rozbili ją i okazało się, że dalej jest gruz – pokazuje mi Andrzej Nowicki. – Potężnym, 60-centymetrowym wiertłem zaczęli go wykruszać i wydobywać. W ten sposób wydrążyli blisko dwumetrowy, wąziutki tunel. Dokopali się nim do kolejnej ściany. Na niej złamało się wiertło. – Widać jedynie, że za tymi ceglami tunel dalej gdzieś ciągnie się – mówi Andrzej Nowicki, oświetlając naruszoną ścianę. – Gdzie? – pytam. – Nie wiemy, jedna z legend krążących po urzędzie mówi, że w kierunku kapitanatu portu, druga – że na Łasztownię – mówi Nowicki.

Tyle relacja dziennikarska, która nie pozwala na snucie przypuszczeń. Zwłaszcza że o ile ta z kapitanatem portu nie jest jeszcze tak sensacyjna, bo budynek znajduje się nad brzegiem Odry w prostej linii jakieś 500 m na północ od urzędu, o tyle ta z Łasztownią jest już nieco bardziej fantastyczna.

Łasztownia to bowiem wyspa położona również w prostej linii ok. 700 m od urzędu, ale aby się doń



Tunel pod Urzędem Wojewódzkim FOT. ARCHIWUM URZĘDU WOJEWÓDZKIEGO W SZCZECINIE

skorzystano z fortyfikacji, które już były w tym miejscu wcześniej. Tym bardziej że powstał w miarę szybko – pierwszy raz schronili się w nim mieszkańcy już w 1943 r. Znaczący zapewniają, że nie ma żadnej pewności, ale schron znajduje się na terenie dawnego fortu Prusy, czyli bastionu, który do połowy XIX w. osłaniał miasto od południa. Wtedy właśnie Szczecin przestał być miastem-twierdzą i zdecydowano się na stopniowe zburzenie trzech ufortyfikowanych bastionów: Zygryda, Leopolda i wspomnianego już fortu Prusy.

Dziś dzięki pasjonatom schron jest udostępniany do zwiedzania. Dawniej wchodziło się do niego prosto z tunelu prowadzącego na perony dworca, dziś wejście jest w zupełnie innym miejscu – na tzw. Nowym Mieście, które powstało właśnie po likwidacji forticy. Kiedy dwa lata temu prowadzono prace budowlane w rejonie schronu, natrafiono na kolejne podziemne korytarze. Zbudowane były z cegły, co

okres, w których powstały. Najstarsze są oczywiście ceglane, pochodzące z XX w. najczęściej już powstały z prefabrykatów. W kilku miejscach konstrukcje mieszają się. Te w dawnym forcie Prusy nie wiadomo do czego były przeznaczone. Teoria, że zapewniały sekretną komunikację między fortecznymi budynkami, jest naturalna i najbardziej prawdopodobna.

Fort Leopold znajdował się w miejscu, gdzie swoją przygodę z „Podziemnym Szczecinem” zaczęli filmowcy. Warto tam jeszcze na chwilę wrócić, aby zająrzeć do gmachu Zachodniopomorskiego Urzędu Wojewódzkiego stojącego na Wałach Chrobrego. To olbrzymi budynek wybudowany jeszcze przed I wojną światową. Dokładnie w miejscu, w którym były kiedyś fortyfikacje. Oddajmy na chwilę głos dziennikarzowi i znawcy Szczecina, Andrzejowi Kraśnickiemu. Oto, jak opisywał swoją wizytę w podziemiach tego gmachu kilka lat temu: – *Wchodzimy do wąskiego tunelu. Latarka*

przedostać, trzeba by wydrążyć tunel pod dnem Odry, która jest tutaj szeroka na kilkadziesiąt metrów. Tajemnicy nie wyjaśnia plan sporządzony już przez polską administrację zaraz po wojnie (gmach na Wałach Chrobrego był pierwszą siedzibą polskich władz administracyjnych w Szczecinie). Na nim tunel też urywa się mniej więcej w miejscu, do którego dotarł Kraśnicki, wówczas dziennikarz „Gazety Wyborczej”.

Schronienie gacków

Szczecińskie podziemia to raj nie tylko dla różnej maści eksploratorów, turystów czy po prostu pasjonatów historii. To także ostoja dla zwierząt i to właśnie przyroda wyznacza rytm zwiedzania i odkrywania nowych tajemnic. Wspomniana na samym początku policka fabryka benzyny syntetycznej jest największym w Zachodniopomorskiem zimowiskiem nietoperzy. Według szacunków miejscowych chiropterologów, schronienie znajduje tu ok. 2 tys. gacków. Z tego powodu w okresie jesienno-zimowym nie można zwiedzać podziemi. Także tych przy Jeziorze Szmaragdowym w dzielnicy Zdroje, które wiosną i latem można oglądać z przewodnikiem.

W tym roku nietoperze zleciały tu wyjątkowo wcześniej, bo już na początku września. Jak podkreślają eksperci z Zachodniopomorskiego Towarzystwa Chiropterologicznego „MOPEK” – ten sezon jest szczególny z jeszcze jednego powodu. W kolonii pojawili się przedstawiciele dwóch gatunków niewidzianych w tym miejscu od dwóch dekad. Mowa o nocku wąsatku i nocku Brandta. Jednocześnie zaczęły zlatywać również nocki duże – to gatunek bardzo cenny w skali całej Europy.

Co takiego przyciąga tutaj nietoperze? Podziemia wokół jeziora od zawsze dawały schronienie. Jedna z opowieści mówi, że to tutaj właśnie do kompleksu położonego w pobliżu dawnej kopalni kredy uży-

wanej do produkcji cementu portlandzkiego – przyjeżdżał ukrywać się gauleiter prowincji pomorskiej, Franz Schwede-Coburg, kiedy nad Szczecin nadlatywały alianckie bombowce. W korytarzach do dziś zachowane są różne elementy świadczące, że rzeczywiście to mogło być schronienie przed bombami. I także tutaj widać ponownie dwoistość konstrukcji: raz jest ceglana, a raz żelbetowa. Opiekujący się tym miejscem przyznają, że do końca sami nie wiedzą, do czego przeznaczone były niektóre z pomieszczeń, a dodatkowo jeszcze okazuje się, że badania georadarem pokazują, że niektóre z podłóg są grubsze – tak jakby były jednocześnie stropami kolejnych kondygnacji. Czy rzeczywiście nimi są? I co kryją?

Fascynujące pytania

Znak zapytania – to on najczęściej pojawia się, kiedy poruszany jest temat szczecińskich podziemi. Ile ich jest naprawdę? Jakie było ich pierwotne przeznaczenie? Dokąd prowadzą tunele? Kto i kiedy je wybudował?

Na każde z tych pytań odpowiedź jest niezwykle trudna, a często wręcz niemożliwa. I właśnie to powoduje, że od samego początku, kiedy tylko w opustoszałym mieście pojawili się Polacy – te otoczone aurą tajemnicy konstrukcje fascynują. I tylko szkoda, że nie da się odtworzyć ich pełnej historii.

Podziemny Szczecin istnieje, chociaż nie jest tak wielki, jak chcieliby najwięksi fantaści. Raczej nie ma podziemnego miasta, nitek tuneli łączących poszczególne dzielnice. Są jedynie wybitnie użytkowe magazyny, schrony bądź wyjścia ewakuacyjne. Chociaż... czy na pewno? Czy podziemne miasto rzeczywiście nie istnieje? Nikt, kto choć raz zetknął się ze szczecińskim podziemnym światem, ręki za takie stwierdzenie na sercu nie położy.

■

WALDEMAR KOWALSKI

SZARŻA SYMBOL

Późnym popołudniem 1 września 1939 r. ruszyło natarcie polskiej kawalerii na Niemców pod Krojantami, będące jednocześnie pierwszą szarżą kawaleryjską dopiero co rozpoczętej wojny. Wokół niej narosło przez lata wiele mitów, utrwalanych przez propagandę nazistowską i komunistyczną.



Wspomniane mity i związane z nimi nieporozumienia wynikają z niedostatku źródeł, a także zawodnej ludzkiej pamięci – rozbieżnych relacji uczestników szarży oraz jej postronnych świadków. Wśród wielu niewiadomych są m.in. dokładne miejsce przeprowadzenia szarży, jej przebieg, liczba ofiar, jak i przyczyna załamania się polskiego kontruuderzenia. Jedno jest pewne – bój pod Krojantami był pierwszą szarżą kawaleryjską II wojny światowej.

Co naprawdę wydarzyło się 76 lat temu na leśnej polanie w pobli-

POD KROJANTAMI – KAMPANII POLSKIEJ 1939 r.

zu pomorskiej wsi, w bezpośredniej bliskości strategicznej szosy z Chojnic do Czerska? Dlaczego przez lata nazwa „Krojanty” kojarzyła się z bezsensownie podejmowanym ryzykiem i jakie były źródła tej legendy?



FOT. WARBODNE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.WAG.GOV.PL)

Blitzkrieg w Polsce

Wojska niemieckie 1 września 1939 r. zaatakowały Polskę bez wypowiedzenia wojny. Jednym z kierunków ich natarcia było Pomorze. Niemcom zależało nie tyle na samym zajęciu tego obszaru, co na szybkim przecięciu tzw. polskiego korytarza i wsparciu własnych wojsk atakujących od strony Prus Wschodnich. Równocześnie chodziło o odcięcie znacznej części sił polskiej Armii „Pomorze” gen. Władysława Bortnowskiego, znajdujących się na północ od osi ich natarcia – dwóch dywizji piechoty oraz Grupy Ope-

racyjnej „Czersk”. Jednostki te znalazły się tutaj nie tyle z operacyjnego, co politycznego powodu – miały przeciwdziałać możliwemu zajęciu Gdańska przez Niemców bez równoczesnego ataku na całą Polskę.

Jedną z miejscowości granicznych, które jako pierwsze zostały zaatakowane przez Wehrmacht, były Chojnice – ważny węzeł kolejowy. W rejonie tym operował 18. Pułk Ułanów Pomorskich dowodzony przez płk. Kazimierza Mastalerza, który zajął pozycje w pobliżu Niezychowic. Walczący w ramach Zgrupowania „Chojnice” (dowódca – płk Tadeusz Majewski) pułk ochraniał lewe skrzydło polskiej obrony miasta. Zgrupowanie, obok Oddziału Wydzielonego „Kościerzyna” i Pomorskiej Brygady Kawalerii, weszło w skład Grupy Operacyjnej „Czersk” gen. Stanisława Grzmota-Skotnickiego. Rozlokowano ją wzdłuż granicy polsko-niemieckiej, w rejonie od Kościerzyny po Chojnice.

Do opanowania Chojnic Wehrmacht przeznaczył 76. Pułk Piechoty Zmotoryzowanej wchodzący w skład XX Dywizji Zmotoryzowanej (części XIX Korpusu Pancernego gen. Heinza Guderiana), dowodzony przez gen. Mauritz von Wiktorina. Pułk ten znacznie przewyższał potencjał bojowy ułanów płk. Mastalerza, który w przededniu niemieckiej agresji dysponował 836 żołnierzami (w tym 30 oficerami) oraz prawie tysiącem koni.

Cel: zatrzymać wroga

Od rana 1 września ułani walczyli z przeważającymi siłami wroga, a po

południu płk Mastalerz otrzymał rozkaz wykonania przeciwnatarcia w celu opóźnienia marszu Niemców. Ułani mieli wykonać uderzenie zaczepne, związać walką nieprzyjacielskie siły, co miało odciążyć wycofującą się polską piechotę i umożliwić jej przeprowadzenie się przez Brdę.

Polscy ułani zajęli pozycje wyjściowe w Sternowie (przejsciowy sztab pułku), po czym rozpoczęli tzw. marsz ubezpieczony. Następnie – zgodnie z rozkazami dowództwa – mieli przejść przez miejscowości Kruszki, Krojanty i Pawłowo oraz nawiązać walkę z Niemcami, wychodząc na ich tyły. Potem przewidywano odwrót na Granowo i powrót do Rytle. Pułk miał stanowić odwód Zgrupowania „Chojnice”.

Grupa uderzeniowa mjr. Maleckiego – w składzie 1. i 2. szwadronu, wsparta przez część sił 3. i 4.



Schemat szarzy 18. Pułku Ułanów Pomorskich pod Krojantami. 1 września 1939 r.

szwadronu oraz pluton ckm – poruszała się terenem zalesionym, aby nie zwrócić uwagi wroga. Udało im się to – na wysokości wsi Krojanty zauważyli niemiecki batalion z 76. Pułku Piechoty Zmotoryzowanej.

Trudna decyzja

– *Młodzieńcze, sam wiem, jak wykonać rozkaz niemożliwy do wykonania – miał powiedzieć przed szarżą płk. Mastalerz do rtm. Wacława Godlewskiego, adiutanta pułku. Tym samym sprzeciwił się rozkazowi zaatakowania nieprzyjaciela pieszo. Do ataku przeznaczono siły pułku wsparte kompanią czołgów rozpoznawczych TK i 8. szwadronem kolarzy.*

– *Pułk przed zmierzchem wykona całością natarcie na Niemców, po czym pozostawi jeden szwadron w styczności z Niemcami, resztę pułku wycofać za Brdę, gdzie są nasze umocnienia – brzmiał rozkaz gen. Grzmota-Skotnickiego, przekazany za pośrednictwem por. Cydzika.*

Według wspomnień mjr. Stanisława Maleckiego, dowódcy grupy manewrowej pułku, między godz. 16 a 17 płk Mastalerz otrzymał od przełożonego także kartkę z następującą treścią: – *pomnij naszej przeszłości legionowej, za wszelką cenę... powstrzymuj ruch Niemców, czym prędzej przechodząc do akcji zaczepnej.*

Rozkaz przewidywał wykonanie zaczepnego manewru w celu opóźnienia marszu Niemców, co miało umożliwić przeorganizowanie polskiej obrony. Ale płk Mastalerz zdecydował o zaatakowaniu wroga konno – po leśnej polanie znajdującej się na zboczu wzgórza.

Jedna z relacji mówi, że por. Cydzik w reakcji na decyzję płk. Mastalerza o szarży konnej pojechał do Rytla, skąd zatelefonował do gen. Grzmota-Skotnickiego. Ten nakazał wstrzymać atak, sam udał się na miejsce planowanego starcia. Było już jednak za późno.

Do szarży!

– *Dochodziła godzina 17.00, a może 17.30. Nagle od strony lasu znajdującego się po wschodniej stronie zabudowań dworskich, dał się słyszeć tętent galopujących koni. Po chwili zobaczyliśmy dwie grupy konne w sile co najmniej dwóch szwadronów. (...) Nie upłynęło więcej jak 15 minut, kiedy od strony Krojant doleciały nas odgłosy strzelaniny – zanotował por. Stanisław Sławiński, oficer łącznikowy Armii „Pomorze”, który z miejscowości Jeziorki obserwował szarżę ułanów.*

Rotmistrz Jan Ładoś, dowódca 2. szwadronu nacierającego na Niemców, pisał, że z zadaniem zwiadu wyjechało 2 ułanów: – *Meldują, że za wzgórzem (wzgórze 161 – W.K.) w odległości około 300–400 m na lizjerze lasu znajduje się oddział piechoty niemieckiej w sile około ba-*



Pole bitwy pod Krojantami FOT.ARCHIWUM

talionu, w luźnym ugrupowaniu, bez żadnego ubezpieczenia, bez obserwacji skrzydeł i tyłów. Piechota niemiecka została tu przywieziona transporterami, które stały przy szosie Chojnice-Czersk w zaroślach. Zadaniem jej było przecesać las w poszukiwaniu niedobitków oddziałów polskich.

Ogółem pod Krojantami pozycje Niemców atakowało 200–300 ułanów (różne szacunki). Szarżę tak zapamiętał ppor. Jan Nowak: – *Widzę*

pole bitwy – wielka polana, wokół las. Szwadrony rozrzucone w szerokiej linii, plutony w szyku zwanym „harcownikami”, to znaczy pojedynczo, w luźnej tyralierze – by zmniejszyć własne straty – w szalonym galopie pędzą do przodu.



FOT. WARSZAWIE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.WIAC.GOP.PL)

Plutonowy Paweł Zaremba relacjonował: – *Koni nie dawano się utrzymać, tak rwały. Uszy miały stulone. A nad nimi nasze „hurrria”. Cwał, galop, cwał, galop. Tak było. I dopadliśmy szkopów. No, była rąbanina.*

Do grupy manewrowej mjr. Maleckiego dołączył później płk. Mastalerz, który zginął w czasie natarcia. Wraz z nim poległo kilku innych oficerów. Łącznie było 25 ofiar śmiertelnych, ok. 50 ułanów odniosło rany, kilkunastu zgubiło się w miejscowych lasach.

Jak wynika z większości relacji atakujących, w czasie szarży nagle zza lasu wzdłuż szosy z Chojnic do Rytla wyjechały wozy pancerne, które rozpoczęły ostrzał polskich ułanów. Zmasowany ogień przełamał polskie szyki; mimo strat własnych udało się wykonać odskok i oddalić się z pola ognia niemieckich karabinów maszynowych. Ułani wycofali się za Brdę dopiero późnym wieczorem, docierając do miej-

sowości Kwieki niedaleko Czerska.

General Heinz Guderian, dowódca XIX Korpusu, napisał we wspomnieniach, że gdy 1 września wieczorem wrócił z frontu do sztabu mieszczącego się w Trzcianach, zastał zaskakujący widok: – *Długa*



szosa była pusta. Nigdzie nie było słyhać ani jednego wystrzału. Tym większe więc było moje zdziwienie, gdy nagle bezpośrednio przed Trzcianami usłyszałem wołające mnie głosy i zastałem ludzi z mego sztabu w hełmach bojowych przy ustawianiu działka przeciwpancernego na stanowisku ogniowym. Na moje pytanie, co ich do tego skłoniło, otrzymałem odpowiedź, że w każdej chwili pojawić się może polska kawaleria, która rozpoczęła natarcie.

Jeden wielki mit?

Różne bywały oceny decyzji o zwrocie zaczepnym polskich ułanów pod Krojantami, od uznających go za bezsensowny z taktycznego punktu widzenia po przydatny ze względów operacyjnych – szarża bowiem umożliwiała wycofanie się naszych oddziałów z Pomorza, a więc uniknięcie całkowitego okrążenia. W uznaniu zasług 18. Pułk płk. Mastalerza został później uhonorowany najwyższym polskim odznaczeniem

wojennym – Orderem Virtuti Militari.

Straty – jak na natarcie czołowe kawalerii – nie były duże i wyniosły zaledwie ok. 10% stanu grupy uderzeniowej. Ofiary niemieckie nie są znane. Część relacji mówi o licznych zabitych, przeczą temu jednak zeznania byłych weteranów Wehrmachtu, a wśród nich dowódcy 6. Kompanii 76. Pułku Piechoty Maxa Mantheya.

Wynika z nich, że polska szarża załamała się... zanim jeszcze zdążyła nawiązać styczność z nieprzyjacielem, który nie odpoczywał w czasie postojów, a przemieszczał się w szyku ubezpieczonym. Jak relacjonował Manthey, w szeregach Niemców odnotowano jedynie rannych (w większości od własnego ognia); nie było ofiar śmiertelnych. Niemcy mieli nie dysponować ponadto pod Krojantami pojazdami opancerzonymi, jak się powszechnie przyjmuje. O wyniku starcia miał zdecydować ostrzał z granatników.

Z szabelką na czołgi...

Według por. Maleckiego, zaskoczenie Niemców było całkowite, choć w trakcie szarży wróg wykorzystał olbrzymią siłę ogniową, m.in. czołgów: – *W szeregach Niemców powstał duży popłoch i rozproszenie oddziału w terenie. Nieoczekiwanie dla nas na skrzydle szwadronu wyjechały z ukrycia czołgi nieprzyjaciela, niosąc huraganowy ogień broni maszynowej. Natychmiastowy odskok szwadronów w bok za pobliski grzbiet terenowy, zalesiony, dobry punkt przeciwpancerny – nie obronił przed skutkami tej broni i wielkimi stratami.*

Szarża spod Krojant zapisała się na kartach polskiej historii właśnie za sprawą fałszywego mitu polskiej kawalerii bezsensownie atakującej szablami niemieckie czołgi. U jego źródła stały nieprawdziwe informacje, rozgłaszane już dzień po walce. Wszystko za sprawą włoskiego ko-

respondenta „Corriere della Sera” Indra Montanellego, który relacjonował działania na froncie. Dotarł on na pole bitwy 2 września i od zastanych tam Niemców dowiedział się o rzekomych „samobójczych” szarżach polskich ułanów. Rozpowszechnienie tych plotek posłużyło niemieckim propagandzistom do stworzenia stereotypu Polaka, który z szablą i lancą porywał się na czołgi.

Przez lata ten kłamliwy mit intensywnie się rozwijał. Został wykorzystany i zobrazowany m.in. w niemieckim filmie propagandowym z 1941 r. „Kampfgeschwader Lützow”, w którym kawalerzystów polskich odgrywali żołnierze słowaccy. Szarżujących na czołgi ułanów przedstawił też Andrzej Wajda w filmie „Lotna” (1959).

Legenda Krojant

Nazizm i komunizm, choć czerpiąc z różnych motywacji, długo żywiły się mitem ułanów rzekomo walczących z czołgami. Montanelli dopiero w 1998 r. przyznał, że nie był bezpośrednim świadkiem szarży, a o jej przebiegu dowiedział się od żołnierzy niemieckich. Towarzyszył mu wtedy amerykański korespondent William L. Shirer, autor późniejszego słynnego „Dziennika berlińskiego”, w którym powieścił nieprawdę rozgłaszaną wcześniej przez swojego włoskiego kolegę.

Z całą pewnością wiadomo, że pod Krojantami Polacy nie szarżowali z lancami; nie atakowali szablami czołgów, bo Niemcy nimi nie dysponowali. Ustalenie większej ilości faktów jest trudne, jeśli nie niemożliwe – świadkowie odchodzą z każdym rokiem, a relacje, którymi dysponują historycy, są wyjątkowo niespójne. Legenda Krojant ciągle jednak żyje. ■



Zdjęcia udostępniło
Narodowe Archiwum Cyfrowe
www.nac.gov.pl



WOJCIECH WEILER

FOT. ARCHIWUM

Tankietka Carden-Loyd Mk VI została zauważona w kręgach wojskowych na całym świecie. Producent – spółka Vickers-Armstrong – zachwalał jej szerokie zastosowania w charakterze ciągnika opancerzonego, transportera mózdzierza, czołgu rozpoznawczego, podwozia do zamontowania lekkiego działka itp. Ale największą zaletą była cena: na małych i tanich tankietkach można było szkolić żołnierzy wojsk pancernych, którzy później przesiądą się na „dorosłe” czołgi.

Reklama poskutkowała: brytyjska tankietka trafiła do armii 16 państw, 6 innych zakupiło licencję na jej produkcję. Ostatecznie jednak wy-

Tankietka TK – pierwszy polski czołg

Lekkie czołgi rozpoznawcze, nazywane popularnie tankietkami, były najliczniejszymi pojazdami pancernymi Wojska Polskiego przed II wojną światową. „Na papierze” pokazywały potęgę oręża i podnosiły morale żołnierzy – a ich mit dopełniany był opowieściami o tym, że niemieckie czołgi są z tektury. Niestety, zderzenie z wojenną rzeczywistością pokazało zupełnie co innego.

Historia tankietek zaczęła się od doświadczeń zdobytych podczas I wojny światowej, kiedy to czołg służył przede wszystkim jako broń pancerna wsparcia piechoty w jej działaniach pozycyjnych. Opracowane po Wielkiej Wojnie małe czołgi wpisywały się w koncepcję lekkiego pojazdu pancernego. Przewidziane zostały jako mobilny środek transportu dla karabinu maszynowego i jednego, góra dwóch żołnierzy. Pojazdy te nazwano *tankette*, co po angielsku jest zdrobnieniem od słowa *tank*, czyli czołg.

Brytyjski protoplasta

W drugiej połowie lat 20. ubiegłego wieku brytyjscy konstrukto-

rzy John Valentine Carden i Vivian Loyd opracowali kilka małych czołgów, z których jeden okazał się wielkim sukcesem – *Two Man Tankette Mark VI*, czyli „dwuosobowa tankietka model VI”. Był to mały opancerzony pojazd gąsienicowy, pozbawiony charakterystycznej dla czołgu wieży, uzbrojony w (opisywany na łamach biuletynu: „Kombatant”, grudzień 2014) ciężki karabin maszynowy Vickers i napędzany silnikiem najsłynniejszego ówczesnego samochodu – Forda T. Załoga chroniona była pancierzem tylko od dołu i z boków – od góry kabina pozostawała odkryta i dopiero w modelach przeznaczonych na eksport pojawiły się pancerne pokrywy nad przedziałem bojowym.

tworzenia oryginalnego modelu nigdzie nie rozpoczęto, za to kilka krajów zajęło się ulepszeniem brytyjskiej konstrukcji lub tworzeniem na jej bazie własnych, bardzo podobnych pojazdów. I tak pojazdy wzorowane na Carden-Loydzie Mk VI powstawały w Czechosłowacji, we Francji, Włoszech, w Związku Radzieckim i u nas – w Polsce.

Zachwyt i rozczarowanie

W 1929 r. szef Departamentu Zaopatrzenia Inżynierii Ministerstwa Spraw Wojskowych, ppłk Tadeusz Kossakowski, sprowadził jedną brytyjską tankietkę do prób. Pierwszy pokaz jej możliwości na poligonie w Rembertowie 20 czerwca zachwylił armijne kręgi decyzyjne, które natychmiast postanowiły o zakupie kolejnych 10 tankietek i 5 przyrządów gąsienicowych do dalszych testów. Zamówiony sprzęt dostarczono do Polski już w sierpniu tegoż roku, a we wrześniu sformowano

dwa plutony po 5 tankietek każdy i skierowano na prowadzone właśnie wielkie manewry międzydywizyjne. Po zakończonych ćwiczeniach uznano, że ruchliwe i dobrze pokonujące przeszkody pojazdy nadają się do pełnienia zadań rozpoznawczych w składzie jednostek piechoty i kawalerii zmotoryzowanej lepiej niż wprowadzone niedawno do armii półgąsienicowe samochody pancerne wz.28. Niewiele myśląc – zakupiono licencję na krajową produkcję tankietek Carden-Loyd Mk VI.

Ale nie wszystko złoto, co się świeci. Szczegółowe próby zakupionych latem 10 tankietek zakończono w grudniu 1929 r. Pokazały one, że zawieszenie pojazdów jest skonstruowane fatalnie i praktycznie pozbawione resorowania. W efekcie już po kilku przejechanych kilometrach załoga nie była w stanie prowadzić działań bojowych – tak była tą podróżą „wytrzęsiona” i umęczona: wyczerpanym żołnierzom kręciło się w głowach, po wyjściu z pojazdu ślali się na nogach, nawet wymiotowali! W 1. Dywizjonie Samochodowym konstruktorzy pod kie-

soru półeliptycznego. Zmiany wprowadzono w dwóch wozach i przyniosły one bardzo dobry skutek. Zrezygnowano więc z licencyjnej produkcji pojazdów brytyjskich i zdecydowano się na wytwarzanie na ich bazie udoskonalonych tankietek własnych, a wszystkie 10 egzemplarzy Carden-Loyd Mk VI trafiło do Doświadczalnej Grupy Pancerno-Motorowej, gdzie używane były do szkolenia pancerniaków i do manewrów poligonowych.

Krajowe prototypy

Prace nad nową tankietką ruszyły jeszcze w 1929 r. w Biurze Konstrukcyjnym Broni Pancernych Wojskowego Instytutu Badań Inżynierii w Warszawie. Prowadzili je mjr inż. Władysław Trzeciak i rtm. Edward Karkoz, a współpracował z nimi inż. Edward Habich. Skonstruowali oni dwa prototypy, nazwane TK-1 i TK-2 od inicjałów nazwisk głównych twórców: Trzeciaka i Karkoza. Tankietka TK-1 miała koła napędzające gąsienice z tyłu i nowszy silnik od samochodu Ford A o pojemności 3285 cm³ i mocy 40 KM. W TK-2 pracował starszy silnik od Forda T,

w dwóch przerobionych egzemplarzach Carden-Loyd Mk VI, a pełzały na przekonstruowanych i wzmocnionych gąsienicach. Pancierz miał grubość od 3 do 7 mm, przedział bojowy – podobnie jak w tankietkach brytyjskich – pozostał odkryty od góry, choć w razie konieczności można było założyć blachy ochronne. Uzbrojeniem był 7,92-mm karabin maszynowy wz.25 Hotchkiss, który mógł również prowadzić ogień przeciwlotniczy do góry, pod kątem 80 stopni.

W sierpniu 1930 r. oba prototypy TK wzięły udział w manewrach międzydywizyjnych. W efekcie tych prób poligonowych warszawskie Biuro Konstrukcyjne Broni Pancernych Wojskowego Instytutu Badań Inżynierii otrzymało we wrześniu polecenie dalszego udoskonalenia projektu, nazwanego teraz „czołg szybkobieżny TK wz.31”. Oba prototypy odesłano do Państwowych Zakładów Inżynieryjnych w celu przekonstruowania – miały otrzymać nowy, całkowicie zamknięty od góry przedział bojowy. W zakładach Ursus zamówiono też trzeci, cięższy prototyp nazwany TK-3, o zabudo-



Brytyjska tankietka Carden-Loyd Mark VI uzbrojona w kaem Vickers – od tego się zaczęło FOT. ARCHIWUM

rownictwem por. Stefana Marczewskiego dokonali więc modernizacji zawieszenia polegającej na dodaniu listwy z dwoma kołami podtrzymującymi gąsienicę oraz płaskiego re-

a koła napędowe umieszczone były z przodu. Oba pojazdy miały elektryczny rozrusznik i zawieszenie podobne do ulepszonych przez por. Stefana Marczewskiego zawieszenia



Prototyp tankietki TK-1 ustawiony jako pomnik w Centrum Wyszczolenia Broni Pancernych w Modlinie – zdjęcie zrobione przez Niemca tuż po kapitulacji miasta w 1939 r. FOT. HUGO JAEGER

wanym przedziale bojowym i zmodyfikowanym zawieszeniu z przednimi kołami napędowymi. Modernizację prototypów TK-1 i TK-2 oraz budowę TK-3 ukończono w marcu 1931 r. TK-1 zachował koła napędowe z tyłu, TK-2 z kolei prawdopodobnie został całkowicie przerobiony na TK-3. Przebudowaną tankietkę TK-2 i TK-3 po skończonych próbach zachowano w fabryce jako egzemplarze wzorcowe do produkcji. TK-1 umieszczono jako pomnik na ułożonym z kamieni postumencie w Centrum Wyszkożenia Broni Pancernych w Modlinie.

Pierwszy polski czołg

W marcu 1931 r. rozpoczęły się próby, z których tankietka TK-3 wyszła obronną ręką: 14 lipca tegoż roku szef Sztabu Głównego Wojska Polskiego przyjął TK-3 do uzbrojenie Wojska Polskiego jako „lekki czołg rozpoznawczy TK-3”. Od razu zamówiono też 100 sztuk. Pierwsze 15 tankietek wykonano ze stali nieutwardzonej: nie nadawały się one do zastosowań bojowych – najpierw trafiły na manewry międzydywizyjne, potem służyły do szkolenia żołnierzy. Kolejne 85 czołgów z blach pancernych wojsko odebrało w maju 1932 r., drugą serię 100 sztuk zbudowano po trzech miesiącach, potem zamówiono serię trzecią – także 100 sztuk. Łącznie zbudowano 300 egzemplarzy TK-3.

Pojazd miał długość niespełna 2,6 m (to mniej więcej tyle, ile ma znany z dzisiejszych ulic małe mini-samochód Smart Fortwo!), wysokość 1,32 m i szerokość 1,78 m, a ważył niecałe 2,5 tony. Załoga składała się z siedzącego po lewej stronie mechanika-kierowcy i dowódcy siedzącego po prawej, których oddzielał silnik. Za siedzeniem dowódcy obsługującego karabin maszynowy znajdował się zbiornik paliwa. Załoga wsiadała przez dwa włazy zasłaniające pokrywami, obserwację umożliwiały szczeliny w pancerzu, który

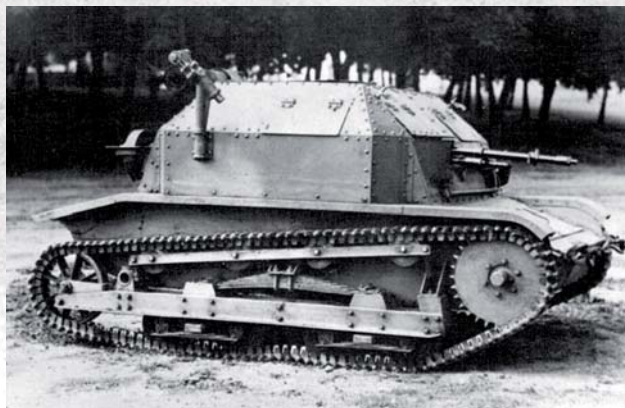
miał grubość od 4 do 8 mm. Na zewnątrz znajdował się reflektor-szpeccarz. Czołgi nie były wyposażone w radiostacje – łączność w plutonie odbywała się za pomocą specjalnych chorągiewek sygnalizacyjnych, wystawianych nad dach tankietki.

Rozwój konstrukcji

Na bazie TK-3 w roku 1932 wyprodukowano 4 egzemplarze testowych dział samobieżnych TKD, uzbrojonych w polską armatę wz.25 kalibru 47 mm, które skierowano do prób. Czołg ten nie trafił do produkcji, bo nie był konstrukcją udaną.



Obchody Święta Narodowego Trzeciego Maja w roku 1936 w Warszawie. Defilada tankietek TK-3 w ramach Rewii Wojskowej, zorganizowanej na Polu Mokotowskim. FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)



Tankietka TK-3 była pierwszym seryjnie produkowanym polskim czołgiem. Warto porównać z nowocześniejszą wersją TKS, pokazaną na zdjęciu tytułowym. FOT. ARCHIWUM

Ponieważ tankietka TK-3 napędzana była importowanym silnikiem Forda, postanowiono zastąpić go nowszym i mocniejszym krajowym silnikiem z Polskiego Fiata, którego licencyjną produkcję rozpoczęto właśnie w tym czasie. W 1933 r. zbudowano serię ok. 20 tankietek nazwanych TKF („F” od nazwy Fiat), lecz one także nie trafiły do seryjnej produkcji.

W tym samym roku rozpoczęto prace nad ulepszonym modelem tankietki, którego głównym projektantem był inż. Edward Habich. Zmieniono przede wszystkim kształt kadłuba, który stał się teraz bardziej odporny na ostrzał i pogrubiono pancerz. Silnik Forda zastąpiono fiатовskim z nowym układem przeniesienia napędu. Wzmocniono zawieszenie, zmieniono mocowanie

karabinu maszynowego, dowódca otrzymał nowoczesny peryskop, a kierowca-mechanik – wizjer z wkładką peryskopową. Nową tankietkę nazwano „czołg szybkobieżny TKS wz.33”.

Po testach wojskowych Państwowe Zakłady Inżynieryjne wyprodukowały w sierpniu 1933 r. 20 szkoleniowych tankietek TKS z blach nieutwardzonych, a po drobnych poprawkach czołg trafił 22 lutego 1934 r. do produkcji seryjnej – oczywiście, już z blach pancernych. Łącznie do jej zakończenia w kwietniu 1937 r. zbudowano 262 bojowe egzemplarze TKS. Oprócz tego pracownicy PZInż. ufundowali kolejnych 10 sztuk, które przekazano wojsku 15 maja 1938 r.

W roku 1933 rozpoczęto prace projektowe nad ciągnikiem artyler-



ryjskim C2P opartym na podwoziu TKS, przeznaczonym do holowania armaty kalibru 75 mm lub działka przeciwlotniczego kalibru 40 mm. Otwarta kabina miała przednią szybę i mieściła czterech żołnierzy, a w razie potrzeby można ją było zaszyć brezentem rozciągniętym na stelazie. W 1937 r. C2P skierowano do seryjnej produkcji, która zakończyła się w roku 1939 liczbą 196 egzemplarzy.

Rok 1934 przyniósł 6 sztuk eksperymentalnego modelu TKW – lekkiej tankietki rozpoznawczej. Uzbrojona była w karabin maszynowy Browning wz.30 zamontowany w obrotowej wieżyczce, która mogła kręcić się dookoła, tzn. o 360 stopni. Wieżyczka z TKW posłużyła później do rozwoju czołgu 4TP.

W roku 1936 dwa egzemplarze TKS wyposażono w działko przeciwpancerne Bofors wz.36 kalibru 37 mm i przekształcono w prototypowe działko samobieżne o symbolu TKS-d. Z przodu kadłuba przymocowano pancerną płytę ochronną, za którą umieszczona była armata. Jeden z prototypów TKS-d brał udział w obronie Warszawy.

W tymże roku rozpoczęto prace nad wzmocnieniem uzbrojenia TK-3 i TKS. Było bowiem oczywiste, że tankietka wyposażona tylko w karabin maszynowy nie może walczyć skutecznie z pojazdami pancernymi i od samego początku prac nad TK postulowano bez efektu uzbrojenie ich w małokalibrowe działko. Najpierw badano możliwości zastosowania działek 20-mm Madsen i Solothurn. Ostatecznie – dopiero na przełomie 1938 i 1939 r. – zdecydowano się na 20-mm polską armatę automatyczną FK-A wz.38, skonstruowaną w Biurze Studiów Fabryki Karabinów w Warszawie i w wojsku klasyfikowaną jak nkm, czyli najcięższy karabin maszynowy. Pocisk z niego wystrzelony przebijał pancerz grubości do 40 mm z odległości 200 m. Rozpoczęto więc modernizację – plan przewidywał przebrojenie 110 tankietek TK-3 i TKS z karabinów maszynowych na działka do końca 1939 r. Do wybuchu wojny zdołano wyprodukować jedynie ok. 50 nkm-ów wz.38, z których ledwie 24 zdążyło zamonto-

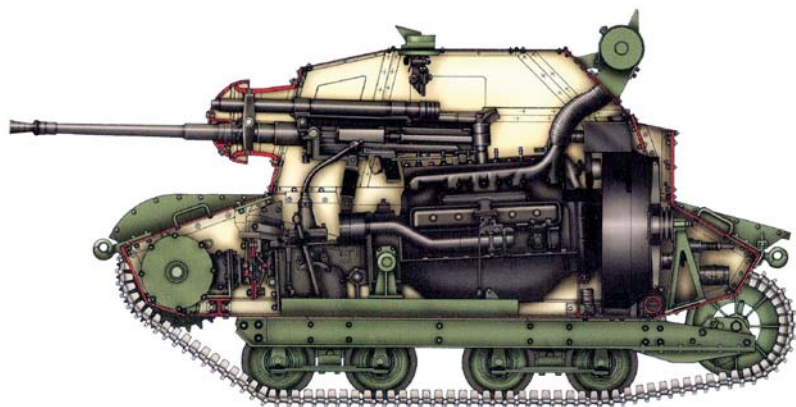
wać w pierwszej serii przerabianych tankietek TKS.

Wojna

Do roku 1939 łącznie wyprodukowano w Polsce niemal 600 sztuk wszystkich typów tankietek. We wrześniu w walkach uczestniczyło ok. 400 wozów – były one najliczniejszym typem polskiej broni pancerniej i jedynymi dostępnymi dla polskich dowódców pojazdami pancernymi. Było ich jednak tak mało, że nie wystarczały na potrzeby wszystkich dużych jednostek – o tych mniejszych nie wspominając. Niestety, TK-3 i TKS nie były pełnowartościowymi czołgami i nie mogły nawiązać równorzędnej walki z ciężkimi wozami pancernymi wroga. Konstrukcję miały bardzo przestarzałą, a słabe opancerzenie nie chroniło przed strzałem z broni przeciwpancernej, do tego były to pojazdy nękane przez awarie.

Tankietki ze względu na swe bardzo małe rozmiary nadawały się jako wozy rozpoznawcze. Z braku innego sprzętu musiały także pełnić rolę czołgów wpierających piechotę. A ponieważ większość wojsk niemieckich stanowiła również piechota – potrafiły zadawać jej odczuwalne straty. Dwadzieścia kilka tankietek TKS uzbrojonych w 20-mm działka to była garstka, która mogła próbować walczyć z niemiecką i sowiecką bronią pancerną. Wystrzelone z nich pociski miały szansę przebijać pancerze ówczesnych czołgów przeciwników.

Większość wojujących w 1939 r. TK-3 i TKS zniszczono w boju. Resztę porzucono na pastwę wroga z powodu awarii czy braku paliwa. Znane są pojedyncze przypadki późniejszego użycia polskich zdobycznych tankietek przez hitlerowskich pancerniaków. ■



Przekrój prototypowej tankietki TKS uzbrojonej w 20-mm działko Solothurn S18-100 RYS. MARCIN KAZIMIERCZAK



Zdjęcia udostępniło
Narodowe Archiwum Cyfrowe
www.nac.gov.pl

